

ALFRED HITCHCOCK

**PUŁAPKA ZA 100
MILIONÓW**

NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: **KRYSTYNA BOGLAR**)

ROZDZIAŁ 1

KTO ZNIKNAŁ W SUPERMARKECIE?

Pukanie było tak ciche, że nie usłyszał go ani Jupiter Jones, zajęty wycieraniem wiecznie cieknącej lodówki, ani Pete Crenshaw, gimnastykujący się zawzięcie na poręczu pomiędzy ścianą a framugą drzwi. Tylko Bob Andrews podniósł głowę z dawno nie strzyżoną grzywą. Jego palce na moment oderwały się od klawiatury komputera.

- Ktoś pukał?

- A któż by nachodził kwaterę o tak późnej porze? - zdziwił się Pete, prostując plecy.

Pukanie odezwało się głośniejsze. I jednocześnie skrzypnęły drzwi.

- Trzeba naoliwić zawiasy - zdążył powiedzieć Jupe, zanim wypuścił z ręki słoik z resztą marmolady z owoców awokado. Z otwartymi ustami wpatrywał się w zjawisko stojące w drzwiach.

- Wejdz, kimkolwiek jesteś - wyjąkał Pete zawieszony między niebem a ziemią.

Tylko Bob zachował zimną krew, choć i jemu serce zabiło nieco żwawiej.

- Prosimy.

Dziewczyna była średniego wzrostu, niezwykle harmonijnej budowy ciała, a zwiewnością mogła dorównać ważce w locie. Ale wprost niezwykle, urzekające i - rzecz można - zwalające z nóg okazywały się, już na pierwszy rzut oka, jej wspaniałe, długie, wijące się w pierścieniach włosy koloru miodu. Może ktoś mniej wrażliwy od Jupitera nazwałby je miedzianymi. Ale nie on. Kiedy podniosła oczy, wrażenie jeszcze się spotęgowało. Tylko górskie jeziora mają tak intensywny kolor zieleni.

- Ja - wyszeptała cichutko - ja do... Trzech Detektywów.

Pete przyjął pozycję pionową. Jupiter postąpił krok do przodu, dokładnie rozdeptując resztki szkła. Tylko Bob uśmiechał się promiennie.

- To my. Dobrze trafiłaś. W czym problem?

Rozłożyła dłonie gestem wskazującym jednoznacznie, że nie ma szybkich i łatwych odpowiedzi.

Pete wyrwał Jupiterowi jedyny stołek z czterema nogami. Meble w Kwaterze Głównej pochodziły ze składu złomu ciotki Matyldy. A ona nie lubiła rozstawać się z przedmiotami bez braków.

- Usiądź.

Dziewczyna wciąż trzymała się klamki. Jej zdziwiony wzrok błędził od kanapy z

wyłączającymi sprężynami do kałuży, pozostawionej na podłodze przez niesprawną lodówkę.

- Tak tu u was... - zaczęła i umilkła zaczerwieniona.

Bob natychmiast wyczuł nastrój.

- Dziwnie? Chciałaś powiedzieć: dziwnie? Wystrój mamy specjalny. Nie jesteśmy ludźmi, którzy dobrze by się czuli w biurze z chromowanymi mebelkami i fikusem w donicy.

Jupiter Jones pomału odzyskiwał przytomność umysłu.

- Widzisz - powiedział, przyglądając się plamie po marmoladzie - zajmujemy się nietypowymi sprawami. Nie siedzimy tu zbyt długo. Przeważnie jesteśmy w terenie...

Bob wskazał na rozjaśniony ekran komputera.

- Tu mamy wszystkie dane. Z całego świata. Mogę ci w pięć sekund powiedzieć, jaka jest pogoda na Przylądku Dobrej Nadziei. Chcesz?

- Nie - spokojnie pokręciła głową. - Chcę wiedzieć, gdzie jest mój ojciec. - Włosy opadły jej na oczy. Po policzkach potoczyły się łzy. Tego już Pete Crenshaw nie mógł zdzierżyć. Podszedł do dziewczyny, łagodnie wziął ją za rękę i podprowadził do stołka o czterech nogach. Bob natychmiast oderwał się od ekranu i pospieszył z paczką jednorazowych chusteczek.

- Usiądź, wytrzymaj nos i opowiedz o wszystkim.

Tylko Jupiter Jones wciąż stał z piętą ubrudzoną marmoladą z owoców awokado.

Dziewczyna otarła oczy. Gdy je uniosła, były jeszcze bardziej zielone. Jak świeże liście tymianku.

- Nazywam się Caroline. Caroline Black - dorzuciła.

- Jupiter Jones, Pete Crenshaw i Bob Andrews - spokojnie wyjaśnił Bob, wskazując kolejno detektywów. - Mówiłaś coś o ojcu.

- Tak. - Jej dłoń, z mokrą chusteczką, zwisała bezradnie. - Zniknął cztery dni temu.

Jupiter odetchnął głęboko. Wyglądało na to, że zaczyna wracać do grona myślących.

- Zniknął? - zachrypiął i odchrząknawszy, ciągnął: - Co to znaczy?

Spojrzała zdziwiona.

- No... nie wrócił do domu.

Pete i Bob wymienili spojrzenia. Może trochę rozśmieszyło ich zachowanie bossa. Jupiter nigdy dotąd nie padał zemdłony na widok ładnej buzi. Nie należał do najprzystojniejszych. Od dzieciństwa miał skłonności do tycia. Dawniej nazywano go nawet "Małym tłuscioszkiem", co go doprowadzało do szewskiej pasji.

- Gdzie mieszkacie?

- Tutaj. W Rocky Beach. Pracuję w barze przy Hill Street.

- A twój ojciec? - Bob wystukiwał dane na klawiaturze.

- Mój ojciec? - powtórzyła spłoszona. - Nazywa się Thomas.

- Thomas Black. Tak? - Jupiter wreszcie wyszedł z zaczarowanego kręgu rozdeptanej marmolady. - Jak zniknął? Gdzie?

Zatrzepotała rzęsami.

- Wszedł do supermarketu i nie wyszedł stamtąd.

Trzej Detektywi o mały włos nie wybuchnęli śmiechem. A był powód! Jupiter natychmiast wyobraził sobie Thomasa Blacka, jak znika wśród... puszek z zielonym groszkiem.

- Żartujesz? - Skrzywił usta.

Dziewczyna zalała się łzami.

- Wiedziałam! - szlochała, rozmazując mokre ślady na policzkach. - Wiedziałam, że nie uwierzycie! Nikt w to nic wierzy!

Pete przykucnął u stóp dziewczyny. Rozum mówił mu, że nie należy poważnie traktować wyznań miedzianowłosej, ale przecucie też coś miało do powiedzenia.

- Wyjaśnij nam to - uśmiechnął się pojednawczo - i pamiętaj, że musisz mieć do nas zaufanie. Inaczej nie będziemy mogli ci pomóc.

Jego pełne zachwyty spojrzenie rozbroiło Caroline. Przestała szlochać.

- Ja nie fantazjuję. Wiem, że to wszystko brzmi niewiarygodnie, jak ze złego komiksu, ale fakt jest taki: pojechaliśmy z tatą po zakupy. Zawsze w sobotę uzupełniamy zapasy. Mieszkamy we dwoje od śmierci mamy. Umarła, gdy miałam pięć lat. Tato mnie sam wychowywał.

- Podaj dokładny adres - wtrącił Bob z palcami na klawiaturze. Był dokumentalistą zespołu.

- W małym domku przy Canion Court. Na północy.

- Co było dalej? - Jupiter Jones przestał myśleć o puszkach z zielonym groszkiem.

- Samochód zostawiliśmy na parkingu supermarketu "Jay and Jay". Weszliśmy z wózkiem. Był już pełen, gdy ojciec wszedł między półki z przyborami do majsterkowania. Szukał jakichś śrubek... no nie wiem dokładnie. Wtedy zniknął mi z oczu.

- Więcej go nie widziałaś?

Potrząsnęła falą włosów.

- Nie.

To było naprawdę zastanawiające. Facet ginie wśród śrubek? Na zawsze? Bzdura!

- Z supermarketu "Jay and Jay" jest osiem wyjść. Tuż za kasami - powiedział Pete. -

Zapewne twój ojciec zapłacił i wyszedł jednym z nich.

Dziewczyna zacisnęła wargi.

- Stałam tam. Z wózkiem pełnym zakupów. Już za kasami, bo to ja płaciłam.

Czekałam na ojca. On miał kluczyki do samochodu!

Trzej Detektywi spojrzeli po sobie.

- Długo czekałaś? - spytał Bob.

- Długo. Potem poprosiłam faceta z obsługi, żeby obszedł ze mną wszystkie zakamarki. Także boczne wyjścia awaryjne i drzwi do magazynów. Nic. Ślad po nim zaginął.

- A samochód? - wtrącił Jupe.

- Jest na parkingu. Do dziś. Nie mogę znaleźć zapasowych kluczyków. Pewnie ze zdenerwowania. To było naprawdę dziwne. Ogromny sklep, dziesiątki ścieżek między półkami, stopy towarów. Ani żywego, ani... zwłok. Nic.

Pete poklepał się po policzku. Jak człowiek, który się chce ocucić z marnego snu.

- Nie zostaje nam nic innego, jak włamać się do samochodu. Co to za marka?

- Stara toyota dostawcza. Biała z niebieskim pasem. Potrafisz otworzyć?

Crenshaw nie przytaknął ani nie zaprzeczył. Jupiter Jones ssał wargę. Zawsze tak robił, gdy intensywnie myślał.

- Dobrze. Na razie wystarczy to, co opowiedziałaś. Zaraz, zaraz... czy twój ojciec na coś chorował?

Jej oczy pełne były bólu.

- Miał kłopoty z krążeniem. Ale przecież nie z tego powodu zniknął! Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło.

Bob marszczył czoło, pochylając się nad klawiaturą. Ekran jarzył się błękitną poświatą.

- Nigdy wcześniej nie zniknął? Nie wyjeżdżał?

- Raz w miesiącu. Do San Bernardino.

- Po co?

- Nie wiem. Nie mówił.

Jupiter wciągnął nosem powietrze. Zupełnie jak pies, który chwycił trop.

- Macie tam rodzinę?

Potrząsnęła włosami. Pachniały rumiankiem.

- Nie. Ale sądzę, że pracował dla kogoś z San Bemardino. Zawsze wracał z pieniędzmi. Kupował mi sukienki i perfumy...

- Zgoda! - klasnął Jupe. - Bierzemy tę sprawę.

Dziewczyna otworzyła torebkę.

- Mam przy sobie tylko pięćdziesiąt - powiedziała niepewnym głosem.

Pete lekceważąco machnął dłonią.

- Najpierw wyjaśnimy sprawę!

Bob zacisnął zęby. Wieczny optymista! - pomyślał. - A za co będziemy kupować benzynę?

Dziewczyna położyła banknot na kanapie.

- Ja... ja się będę lepiej czuła. Teraz muszę już iść. Pracuję popołudniu.

Odeszła, zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę w Kwaterze Głównej panowała cisza. Przerwał ją Pete.

- Ale śliczna! I co o tym myślicie?

Jupiter zrobił jakiś nieokreślony gest.

- To wygląda na trudną i zagmatwaną sprawę. Nie wierzę, że dorosły mężczyzna może zaginać pomiędzy workami z popkornem!

- Niepokoi mnie fakt, że jeździł do San Bernardino - Andrews wcisnął parę klawiszy. Kliknął myszą wpatrzony w migające litery.

- Dziewięćdziesiąt kilometrów od Los Angeles. Miasto założone przez sektę mormonów...

- Przestań, Bob! - zdenerwował się Crenshaw. - Czy Caroline wygląda na mormonkę? To było w dziewiętnastym wieku!

Jupiter Jones starał się być sędzią sprawiedliwym.

- Czekaj, Pete, Bob tylko nam przybliży historię miasta. Nic nie wiemy o San Bernardino. A wszystko może się okazać pomocne. Skąd wiesz, że to nie sekta mormonów wciągnęła Blacka w swoje szpony? Tam było wielożeństwo...

- Bzdura! - upierał się Pete. - Jeździł w interesach. Co jest szczególnego w tym mieście, Bob?

Andrews przeglądał stronę internetową.

- Gaje pomarańczowe i winnice. No i jest największym terytorialnie hrabstwem Ameryki. Należy do niego wielka pustynia Mojave, na północ od gór San Bernardino.

Jupiter Jones kręcił głową.

- Thomas Black nie pracował w winnicy. Jeździł tylko raz w miesiącu. Bob, co tam jeszcze jest?

- Przemysł. Nowoczesny przemysł lotniczy. Wielkie zakłady współpracujące z San Diego.

- A w San Diego stacjonuje szósta amerykańska flota wojenna. Największa baza na Pacyfiku.

Trzej Detektywi zastrzygli uszami.

Następnego dnia Jupiter odwiedził Caroline w barze. Postanowił wyciągnąć nieco więcej informacji. Miał dziwne przeczucie, że wizyty Thomasa Blacka w San Bernardino były czymś ważniejszym, niż domyślała się jego córka.

- Cześć, Caroline!

Była samym uśmiechem. Lekkość, z jaką się poruszała, przyprawiała chłopca o nieznane wcześniej bicie serca. Dostrzegłszy go, skinęła dłonią. Obsłużyła dwoje nieco zniecierpliwionych czekaniem turystów i na moment przysiadła obok.

- Myślałeś o sprawie?

Jupiter Jones przełknął ślinę. Kanapka, którą mu podała, wyglądała smakowicie.

- Tak. Ale tajemnicze wyprawy twego ojca do San Bernardino bardzo nas niepokoją.

- Dlaczego?

- Odległość - po pierwsze. Po drugie, to duże miasto. Człowiek ginie w nim niczym szpilka. Przypomnij sobie dokładnie, co mówił, kiedy wyjeżdżał.

- Co mówił? - zastanowiła się na moment. - No... nic. Że wróci wieczorem. Pytał, co mi przywieźć.

Jupe westchnął, wpatrzony w kawałek pomidora wystający smakowicie spomiędzy dwóch przypieczonych kromek.

- Spotkamy się o szóstej na parkingu supermarketu. Pete jakoś otworzy samochód. Może tam coś znajdziemy?

- Caroline, stolik czwarty czeka! - huknął z kuchni niski facet z ogoloną głową.

Dziewczyna poderwała się niczym konik polny.

- Lecę! Nie mogę stracić pracy!

Jupe kończył kanapkę. Nawet oblizał palce poplamione sosem tabasco.

O piątej po południu, gdy już załadowano półciężarówkę meblami do sklepu niejakiej Grosfeid, Jupiter Jones wyszedł ze składu ciotki Matyldy. Zaraz, za płotem, natknął się na wuja Tytusa.

- Co byś zrobił, wujku, gdybym pewnego dnia nie wrócił z supermarketu?

Wuj wciągnął brzuch. Podparł rękami biodra.

- Znalazłbym cię pomiędzy ciasteczkami a czipsami z papryką.

Jupiter wyduł usta.

- A serio?

- Zgłosiłbym zaginięcie na policji. Wiem, sierżant Mat Wilson nie byłby tym zachwycony! Komisariat na tropie detektywa! Dlaczego pytasz?

- Bo mam problem. Na policję, mówisz? - zawahał się. - Czasem ludzie wolą nie zgłaszać takich spraw. Dorosły facet znika w masie towarowej, zapakowany w konserwach?

Wuj pokiwał głową.

- Czasem człowiek chce побыć sam. Oderwać się od rodziny, problemów. Gdzieś w górach... albo nad jeziorem...

Jupiter jęknął.

- Sam by pojechał na ryby. Ale mnie zaginał człowiek pomiędzy półkami śrubek! Kto chciałby medytować wśród żelastwa?

- Ja - odparł wuj, ze śmiechem wskazując na skład złomu. - A raczej my, z ciotką. Medytujemy tak od trzydziestu lat!

ROZDZIAŁ 2

CO DETEKTYWI ZASTALI W DOMU PRZY CANION COURT?

W Kwaterze Głównej, barakowozie na tyłach składu złomu, przed którym stał w pełnej krasie Kaczor Donald, Bob układał w pudełku stos fiszek. Na widok Jupitera przerwał pracę.

- Uporządkowałem dane. Jest ich tyle, co kot napłakał.

Pierwszy Detektyw skinął głową.

- Trudno. Idziemy do "Jay and Jay". Pete już tam powinien być.

Wrzucili klucz do dzioba kaczora. Donald był pozostałością po wielkim sprzątaniu w Disneylandzie. Od czasu do czasu park rozrywki wymieniał stare, uszkodzone figury, znane z setek filmów. Kilka z nich znalazło się w składzie ciotki Matyldy. Przytaszczone przez detektywów do Kwatery Głównej, kaczor był jednocześnie skrytką: w jego dziobie chłopcy zostawiali klucz i ważne wiadomości.

Parking był zatłoczony do niemożliwości. Widocznie całe Rocky Beach przyjechało robić zakupy. Pete kręcił się pomiędzy szarą mazdą a czerwoną półciężarówką.

- Jak leci? - bąknął Andrews. Był znanym legalistą, który nie znosił sytuacji, jak mawiał, moralnie wątpliwych. A do takich należało otwarcie toyoty.

Pete wzruszył ramionami.

- W zasadzie w porządku.

- Co to znaczy: w zasadzie? - Jupiter znał Crenshawa na tyle, by się natychmiast mieć na baczności.

- Typ mi się przygląda. Ochroniarz parkingowy.

Caroline miała na policzkach czerwone plamy znamionujące strach połączony z całkowitą determinacją.

- Otwieraj! - Jej zęby zaszczekały. - To mój samochód.

Pete nie dał sobie powtarzać dwa razy. Pod jego zręcznymi palcami, uzbrojonymi w pracowicie wygięte druciki, zamek puścił.

- Co tu robicie! - warknął długi i suchy niczym sosnowa gałąź typ w szarym uniformie z wyraźnym logo supermarketu na plecach.

- Zabieramy samochód - rzucił spokojnie Jupiter.

Gałąź przymknęła oczy. Wzdłuż prawego policzka, aż do ucha, ciągnęła się czerwona, z wyglądu nieprzyjemna blizna.

- Papiery - wysyczał, nie otwierając warg.

Bob kuksnął w plecy zamarłą ze zgrozy Caroline.

- Pokaż prawo jazdy.

Dziewczyna ocknęła się. Drżącymi rękami wygrzebała z torebki dokumenty. Na szczęście numery rejestracyjne wozu były w porządku.

- Tato zostawił tu wóz. Cztery dni temu.

Długi bez słowa oddał dokument.

- A wy? - zwrócił się do chłopców.

- Co: my? - zdenerwował się Pete, dyskretnie chowając niepotrzebne już narzędzie. -

Towarzyszmy tej pani. I proszę się do nas nie zwracać per "wy"! Jasne?

Sucha sosna lekko przywiewła. Igielki jakby zaczęły opadać.

- Więc odjeżdżajcie, panowie. To miejsce jest zarezerwowane - wskazał żółte linie na betonie.

Rzeczywiście. Biało-niebieska toyota stała dokładnie na wymalowanych numerach.

Bob przetarł okulary.

- Wozy z San Bernardino mają u was pierwszeństwo?

Pete wychylił się zza kierownicy. Faktycznie. Miejsce zarezerwowane należało do obcej rejestracji.

Patyk z blizną nie raczył odpowiedzieć. I nie musiał. Ostry dźwięk klaksonu rozległ się od strony wjazdu. Potężna ciężarówka z rejestracją San Bernardino domagała się pierwszeństwa.

Caroline i chłopcy wskoczyli do środka. Jupiter zdążył wcześniej spiąć druty "na krótko". Nie mieli kluczyków.

- Zmiatamy! - szepnął. - Bob, zapisz ich numery!

Andrews już wyciągnął swój słynny, gruby notes, w którym uwieczniał wszystko, co dotyczyło tajnego śledztwa.

- California Institute of Technology! - zawołał przez szum silnika. - To politechnika w Pasadenie!

- Teraz sobie coś przypominam - powiedziała Caroline, wskazując Jupiterowi kierunek.

- Co takiego? - Bob zastygł z długopisem w ręku.

- Ten napis. Ojciec korespondował z kimś z tego Instytutu. Pamiętam, że zawsze skrupulatnie wyrzucał koperty z nadrukiem.

Jupiter uważnie prowadził wóz.

- Właściwie... kim był twój ojciec?

- Skręć w prawy zjazd. Przez pierwszych pięć lat, kiedy zamieszkaliśmy tu, w Rocky Beach, pracował w szkole. Uczył matematyki i chemii.

Pete cieszył się, że mógł swobodnie wyciągnąć nogi. W starym gruchocie Jupitera nigdy mu się to nie udawało.

- Może miał dyplom z politechniki w Pasadenie?

Caroline potrząsała włosami. Podjeżdżali do skrętu w Canion Court.

- Nie. Właśnie dlatego, że nie miał potrzebnych uprawnień, stracił pracę. Został dostawcą. Woził materiały dla biur. Jupe, zatrzymaj się przy zielonym ogrodzeniu.

W głębi stał mały domek zasłonięty ścianą kwitnących hibiskusów.

- Daj klucz, ja otworzę bramę! - Pete już wyskakiwał.

- Wejdźcie - zaprosiła do środka.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Klucz obracał się w zamku, oderwana listwa blokowała zatrzask.

- Stój! - huknął Jupiter. - Tu ktoś się włamał!

I rzeczywiście. Kiedy już sforsowali pierwszą przeszkodę, zaczęły się piętrzyć następne. Wnętrze przestronnego holu wyglądało, jakby właśnie przetoczył się huragan "Molly", kasując po drodze wszystko, co popadło.

Dziewczyna stała jak przymurowana. Bob uniósł ręce w górę.

- Niczego nie dotykać! Niczego nie sprzątać. Zawiadomimy policję!

- Telefon odcięty - raportował Pete. Z daleka widział oderwaną słuchawkę i stłuczony na proszek aparat.

- Wycofujemy się - Jupiter dał sygnał do odwrotu. - Jedziemy do Mata Wilsona.

- Nie będzie zachwycony! - prychnął Bob. - Pete, powinieneś tu zostać na straży.

Jupiter skinął głową. Ktoś musi popilnować gruzowiska. Dziewczyna była zbyt przerażona. No, i to ona musiała złożyć doniesienie na posterunku policji.

- W porządku - stwierdził Pete, napinając muskuły. - Zostaję.

- Chcecie powiedzieć, że ktoś się włamał? - warczał sierżant Wilson, celując pustą puszką po piwie w oddalony koszyk.

- Trafiony, zatopiony! - jęknął z radości Bob. - Zupełnie jak rzut Pery'ego z drużyny Dodgersów!

Mat przesunął ciężką łapą po spoconym karku. Zachwyt Andrewsa sprawił mu przyjemność.

- Lawsooon! - ryknął na całe gardło. Przerażona Caroline przytuliła się do ściany. - Weź dzieciaki do wozu i jedź sprawdź. A ty, Jones - groźnie łypnął w stronę Jupitera - nie baw się w detektywa. Jasne?

Jupiter nie od dziś znał sierżanta.

- Ależ my jesteśmy detektywami.

Mat wykrzywił się wściekle.

- A idźcie do diabła! Lawson, już ich tu nie ma! Gdzie piwo?

George Lawson obciągnął mundur.

- W szufladzie, panie sierżancie!

Było już całkiem ciemno, gdy udało się detektywom choć trochę posprzątać dom. Na szczęście w sypialniach na górze nie narobiono takiego bałaganu. Tylko w pokoju Thomasa Blacka wyrzucono z biblioteki wszystkie książki. Taki sam los spotkał teczkę z dokumentami i rachunkami.

- Czegoś szukali. Nic nie ukradli - skonstatował Bob.

Ekipa śledcza odjechała dwie godziny temu. Zebrali odciski palców, grudki ziemi z dywanu i, nie wiedząc czemu, część narzędzi ogrodniczych. Kierująca ekipą techników chuda jak szczapa miss Parton nie odezwała się słowem.

- Cholerny kościotrup - denerwował się Jupiter - nie chciała powiedzieć, co było na motyce.

- Może krew? - zastanowił się Pete.

Caroline o mało nie zemdląła.

- Ojciec? Zabili go?

Bob kopnął Crenshawa w kostkę.

- Oszalałeś? - wyszczał. - Chcesz, żeby nam umarła ze zgryzoty?

Pete zagryzł wargi. Podtrzymał słaniającą się dziewczynę.

- Co ty, Caroline! Ojciec zniknął w supermarkecie! Nikt go nie zabił.

- A... ta motyka?

Jupiter otrzepał dłonie.

- Posłuchaj - powiedział poważnie - nie wiemy, co się tu stało. Ale obiecuję, że się dowiemy. Przejrzyj uważnie papiery ojca. Może znajdziesz coś intrygującego. Jeśli chcesz, przyjedziemy rano. I nie bój się. Nowy zamek i naprawione drzwi są solidne. Zresztą oni już nie wrócą. Albo znaleźli, co chcieli, albo nie. Przewrócili wszystko do góry nogami. Więcej tego nie zrobią.

- Jacy... oni? - wyszeptała. - Bo mówicie: oni?

Bob uśmiechnął się ciepło.

- Sądząc po śladach w ogródku, było ich co najmniej trzech. Śpij dobrze. Nic się nie stanie. Pracujesz rano?

- Tak.

- To wpadniemy do baru.

Wychodzili w ciemność ogrodu. Szli szybko w stronę furtki, gdy nagle Pete przystopował.

- Co? - zaczął Bob, ale umilkł, widząc, że Crenshaw kładzie palec na ustach.

Jupiter Jones poczuł mrowienie za uszami. Był detektywem-analitykiem. Dobrze czuł się na pluszowej kanapie, z ciasteczkami w dłoni. Wtedy myślał najintensywniej. Wiatr i ukryte w krzakach niebezpieczeństwo zupełnie mu nie odpowiadały.

- Pete - szepnął.

- Tam się ktoś czai. - Crenshaw ruszył krokiem Indianina. Nie trzasnęła najmniejsza gałązka. Łomot, stukot padającego ciała, a potem zduszony wrzask były odpowiedzią.

Bob przełknął ślinę. Stał obok Jupitera.

- Jak myślisz? Kto kogo?

- Pete dopadł podglądacza. Założę się o lody malinowe. I tak było. Crenshaw siedział okrakiem na ciele swojej ofiary.

- Hej, detektywi! Ktoś ma sznur?

Bob podał solidną linkę.

- Kto to jest? - spytał, ponieważ facet w ciemnej kurtce leżał twarzą do ziemi.

- Sam ci powie. Tylko go stąd zabierzemy. Nie chcę niepotrzebnie straszyć Caroline.

Mężczyzna wypluwał trawę zmieszaną ze żwirem. Okręcony sznurem niczym baleron, nie protestował, kiedy go holowali do Kwatery Głównej. Tam, przywiązany do kanapy, wyjęczał:

- Gdzie jestem? Dlaczego mnie...

Pete pochylił się łagodnie.

- Jesteśmy wszyscy zmęczeni - powiedział ciepło. - Nie róbmy teraz sekcji zwłok, dobrze?

Mężczyzna był dość niechlujnie ubrany. Siwiejące włosy i dawno nie strzyżona broda upodobały go do mnicha.

- Podglądał pan dom Blacków - warknął Jupiter - nie ma dymu bez ognia!

- Jasne! Joanna d'Arc wie to najlepiej! - podsumował Bob.

- Kim pan jest? - Jupiter stał ze zmarszczonymi brwiami.

- A wy?

- Detektywi - odparł Bob. - Pracujemy dla Caroline Black. Dlaczego pan ją podglądał? Mężczyzna przymknął oczy.

- Bałem się, że jej zrobią krzywdę.

- Kto? - Pete pochylił się nad nieznanym. Odór alkoholu uderzył go w nozdrza. - Kto? Ci, którzy zrobili Pearl Harbor w jej mieszkaniu? Czy ci, którzy porwali Thomasa Blacka?

Siwa broda rozwarła się, ukazując otwarte usta.

- Kim pan jest?! - wrzasnął Jupiter, ciskając o podłogę pełną puszkę coli. - Jeśli nam pan natychmiast nie powie, wezwiemy Mata Wilsona z posterunku w Rocky Beach.

- Frank. Frank Scotty. Kiedyś... przyjaźniłem się z Thomasem.

- I dlatego ukrywał się pan w krzakach? Pete, można go rozwiązać.

Mężczyzna rozcierał nadgarstki.

- Przyjechałem do Rocky Beach z San Diego. Mieszkałem tam przez ostatnie dwadzieścia lat. Pracowałem...

- Gdzie? - Bob już tkwił przy komputerze.

- W zakładach lotniczych. Ale mnie wylali. Piłem.

Jupiter Jones ssał wargę.

- Co pan ma wspólnego z Thomasem Blackiem?

Scotty przesunął dłonią po nieogolonym policzku.

- Kiedyś pomogłem mu. To było dawno. Jeszcze zanim się ożenił. Myślałem, że on teraz...

- Że teraz on panu pomoże?

- Właśnie. Ale się spóźniłem. Ci dwaj byli szybsi. Jednego walnąłem motyką. W łeb. Uciekłem w dół uliczki. Ale wróciłem, gdy się wynieśli. Podśledzałem rozmowę waszą i policji. Wiem, że Thomas zaginął.

Pete chodził tam i z powrotem.

- Wie pan coś jeszcze o jego zaginięciu?

- Nic. Ale radziłbym szukać w jego... przeszłości. Więcej nie powiem. Możecie mnie zabić. Chcę tylko butelki tekili.

Jupiter westchnął. Wiedział, że nie mogą przetrzymać Franka bez jego zgody. Stary pijus najwyraźniej stracił całe zainteresowanie rodziną Blacków.

- Nie mamy alkoholu. Żaden z nas nie pije! - powiedział surowo. - Gdzie pan mieszka? Tu, w Rocky Beach?

Scotty wstał. Był wysokim mężczyzną o zapadniętej klatce piersiowej i wyniszczonej twarzy.

- W schronisku dla bezdomnych. Jest takie przy Albert Down. Ale tam nie wolno pić.

Wyszedł w ciemność. I, o dziwo, nie potknął się ani razu o leżące wszędzie żelastwo. Roztopił się w mroku. Jak duch.

- Co o tym myślisz, Jupe? - Bob nerwowo stukał palcami w obudowę komputera. - Zaciekawilo mnie to, że pracował w zakładach lotniczych. Nie zapominajcie, że San Diego jest główną bazą amerykańskiej floty wojennej.

- Nie widzę związku - zaprotestował Crenshaw.

- Ja też nie - przyznał Bob. - Ale we wszystkich zakładach pracujących dla wojska obowiązuje tajemnica. Facet, który staje się alkoholikiem, jest zagrożeniem dla tych tajemnic. W komputerze jest informacja, że przemysł lotniczy w San Diego i San Bernardino zatrudnia aż siedemdziesiąt procent ogółu pracowników przemysłowych. To potęga! Tutaj właśnie, w zakładach badawczych narodziły się rakiety "Atlas", używane w lotach kosmicznych.

Pete włożył kurtkę.

- Muszę już iść. Zrobiło się późno. Przynajmniej wyjaśniła się sprawa motyki. Co do tych rakiet... nie wiem, ile w tym sensu. Bo nie zapominajmy, panowie, że Thomas Black zniknął w supermarkecie. W dziale śrubek. Nie w rakiecie "Atlas".

Jupe rozłożył ręce.

- Dobra. Wszyscy idziemy spać. Jutro coś wymyślimy.

ROZDZIAŁ 3

CO ZNALAZŁA CAROLINE?

- Hej! - powiedział Pierwszy Detektyw, gdy dziewczyna postawiła mu przed nosem kanapkę z tuńczykiem. - Dzięki. Jak spałaś?

Miała zmęczone oczy i blade policzki. Ale wciąż była najpiękniejszym zjawiskiem w miasteczku.

- Do północy sprzątałam po nieproszonych gościach. Przy okazji odkryłam zapasowe kluczyki do toyoty. Nie zginęło nic cennego. Tylko album z fotografiami.

Wszedł Pete z szerokim uśmiechem na ustach i bukietem margerytek.

- Dla ciebie. Ukradłem z maminego ogródka.

Dziewczyna uśmiechnęła się ciepło. Jupiter poczuł ukłucie w sercu. Że też nie wpadł wcześniej na ten sam pomysł? Ciotka Matylda nie miała wprawdzie ogródka, tylko skład złomu, ale po drodze były przecież dobrze zaopatrzone grządki pani Stopper!

- Po co im album? Włamywacze zadali sobie tyle trudu, żeby zdobyć zdjęcia z Gór Skalistych? Tu ciocia Zuzia na tle wodospadu?

Caroline potrząsnęła włosami. Zamigotały złotem.

- Tam były zdjęcia ojca z młodości. Z kolegami, dziewczynami...

Pete usiadł.

- I zabrali ten album?

Caroline wyciągnęła z kieszeni fartucha trzy kartoniki, czarno-białe, pośliznięte i lekko zniszczone na rogach.

- To znalazłam w szufladzie, koło rachunków za telefon. Na wszystkich zdjęciach byli ci sami mężczyźni. Trzej młodzi, wyraźnie rozbawieni. W tle widniała drewniana chata z bali, otoczona wielkimi starymi drzewami.

- Kim oni są? - Pete podniósł oczy.

Caroline stuknęła palcem.

- To tato. Pozostałych nie znam. Ale ta stara traperska chata jest w górach. Wiecie, gdzie leży jezioro Big Bear?

- Nazwa jest na odwrocie fotki. "Jezioro Big Bear, maj tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt pięć".

- Big Bear - Wielki Niedźwiedź. Bob znajdzie to jezioro w komputerze. Ale jak dowiemy się, kim są pozostali faceci?

Jupiter Jones zamyślił się.

- Wydaje mi się, Pete, że jest jednak ktoś, kto będzie to wiedział.

Crenshaw zatarł ręce.

- Frank Scotty?

Caroline drgnęła.

- Scotty? Znam to nazwisko. Ojciec miał jakieś listy tak podpisane. Zostały chyba w San Bernardino. A może tato je spalił? Nie mogliśmy się przeprowadzać z tym całym chłamem.

- Wielka szkoda! - mruknął Jupe, połykając ostatni kęs. - Uwielbiam stary chłam.

- Caroline! - wrzasnął łysy właściciel z głębi kuchni. - Podaj zupę do szóstki! Klienci się niecierpliwia!

Chłopcy poczuli się tak, jakby nagle zgasło słońce. Ociągając się wyszli z baru. Pojechali do schroniska przy Albert Down. Ale Frank Scotty wyparował. Odszedł. Nie wiadomo kiedy. I, co gorsze, nie wiadomo dokąd.

Jupiter Jones wpatrywał się w stare zdjęcie.

- Jak się dowiedzieć, kim są ci dwaj faceci obok Thomasa Blacka?

Pete wzruszył ramionami.

- Zorganizować piknik.

- Co? - Oczy Boba miały wielkość talerzyków deserowych.

Crenshaw przerwał na moment ćwiczenia z ciężarkami. W Kwaterze Głównej zapadła cisza. Milczała nawet sztuczna papuga wisząca w klatce u sufitu.

- Piknik. Jedzonko na powietrzu. Ogóreczki, pomidorki. Mogą być krokieciki mojej mamy.

- Wiem, co to piknik! - ryknął Jupiter. - Ale co mają ogóreczki do facetów z czarno-białego zdjęcia?

Pete wycierał się szorstkim ręcznikiem.

- Pojedziemy na piknik nad Big Bear. Rozumiesz? Z Caroline. Najlepiej jej wozem, bo to już góry. Odnajdziemy starą traperską chatę. Może również jakiś ślad?

Bob włączył komputer.

- Niegłupi pomysł. Jeśli Caroline się zgodzi. To fajna trasa turystyczna - rzucił okiem na ekran. - Biegnie z San Bernardino drogą numer osiemnaście, wspinając się serpentynami na stoki.

- Ford odpada - mruknął Jupe. - Wysoko?

- Jakieś tysiąc pięćset do dwóch dwieście nad poziom morza. Cały ruch turystyczny skupia się nad takimi jeziorami śródgóorskimi, jak Lake Arrowhead i Big Bear. Oba są położone w ogromnym kompleksie lasów San Bernardino National Forest.

- Wraca San Bernardino. Ojciec Caroline tam mieszkał. Widocznie spotykali się z kumplami i...

Zabrzącał telefon. Jupiter słuchał w szczerym zdumieniu.

- Kto? - spytał Pete, gdy Pierwszy Detektyw odłożył słuchawkę.

- Nie uwierzycie! Dzwonił George Lawson z posterunku policji w Rocky Beach. Pytał, skąd bezdomny pijak, którego znaleziono martwego, miał w kieszeni naszą wizytówkę.

- Frank Scotty! - jęknął Bob. - Sam mu ją włożyłem do kieszeni. Żeby mógł się z nami skontaktować, gdyby...

Jupiter spojrział na plik wizytówek. Wyglądały tak:

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja Bob Andrews

- Znaleźli go w okolicy Canion Court...

Bob przetarł dłonią oczy.

- Wrócił do ogródka Caroline? Kto go zabił?

Jupiter ssał wargę. Wtedy myślał najintensywniej.

- Ci sami, którzy przetrząsnęli dom Blacka. I chyba mieli coś wspólnego ze zniknięciem Thomasa. Tak czy owak, nieboszczyk nie powie nam nic o facetach ze zdjęcia.

- Początek śledztwa nie najgorszy... - westchnął Crenshaw - czas na działanie, panowie!

Tkwili na parkingu supermarketu "Jay and Jay". Stary ford schował się pomiędzy dwoma półciężarówkami. Jupiter Jones i Pete Crenshaw czyhali na znany już wóz politechniki. Wierzyli głęboko, że znów przyjedzie. Wiarę tę umacniał typ w szarym uniformie wyraźnie na coś czekający. Był to ten sam ochroniarz z nieprzyjemną blizną wzdłuż policzka.

- Sosnowy konar - mruknął Jupe. - Powinien mieć jakieś nazwisko. Wszyscy tu noszą

plakietki ze zdjęciami.

Crenshaw odłożył lornetkę.

- Uwaga, jedzie! Kieruje się na stare miejsce wyznaczone żółtym prostokątem.

Ustawia się tuż przy żelaznych żaluzjach. Co to? Widzisz?

Jupiter chwycił lornetkę.

- Widzę. Prawie wjeżdża do środka. Tyłem. Choć, idziemy bliżej. Ja z prawej, ty z lewej. I uważaj na Człowieka z Blizną!

Skradali się zgodnie z zasadami plemienia Siuksów: cicho, sprawnie i skutecznie. Przywarowali koło pojemników na śmieci.

Człowiek z Blizną witał się z jednym z kierowców.

- Przyjechaliście po białe czy po żółte? - spytał.

- Żółte. Sześćdziesiąt kartonów. Cholernie dużo tego idzie w laboratoriach. Byle dziś bez... mięsnej wkładki! - roześmiał się kierowca w czerwonej czapeczce Chicago Bulls. To najbardziej zdenerwowało Jupitera. Sam był wieloletnim kibicem Dodgersów.

Suchy konar zniknął we wnętrzu magazynu. Za nim wielbiciel chicagowskich byków. Pete wspiął się na stopień szoferki.

- Gregg Patton - rzucił przez ramię. - Zapisz. Ciężarówka należy do politechniki. Jeszcze jest zdjęcie tłustej blondyny i łysego bachora.

- Wracają! Złaź! - Jupiter wtarł się w ścianę. Na szczęście wybrali właściwe miejsce. Tuż za załomem. Sami niewidzialni, mogli podsłuchać każdą rozmowę.

- Pójdziemy na piwo, Gregg? - spytał Człowiek z Blizną.

- Nie. Wracam do bazy. Ogłosili alert. Przesyłka jest już w San Bernardino - roześmiał się. - Ty, Joe, nieźle zarobiłeś!

- Joe - wyszeptał Pete - zapisz. Przyjrzałem się. Facet nie ma plakietki z nazwiskiem.

Joe - Sucha Sosna pocierał policzek. Blizna była stosunkowo świeża.

- Cicho, Gregg. Zapomnij o przesyłce. A forszę zainwestowałem. Już nie zamierzam tu harować. Jakem Joe Knopf!

- Knopf! - zaszemrał Pete. - Zapisz!

Jupiter gryzmolił na papierowej chusteczce do nosa. Nie miał notesu ani porządnego długopisu. Od dokumentacji był Bob.

Obsługa supermarketu sprawnie ładowała na ciężarówkę wielkie kartony oblepione żółtą taśmą samoprzylepną. Gregg i Joe rozmawiali cicho. Nic nie było słyhać. Po niecałych trzydziestu minutach wielka ciężarówka odjechała. Joe odprowadził wzrokiem kumpla, zdjął szary kombinezon, pod którym miał zwykle dzinsy i kraciastą koszulę. Narzucił myśliwską

kamizelkę i ruszył przed siebie, pogwizdując. Kombinezon zostawił na jednym z pudeł.

Pete spojrział na Jupitera. Ten skinął głową. W jednej chwili kłęb szarego materiału znalazł się pod pachą Crenshawa. A potem obaj dali nogę.

W Kwaterze Głównej Bob Andrews nudził się jak mops. Przejrzał potrzebne pliki, nie znalazł e-mailowej korespondencji, więc usiadł na kanapie, ze słuchawkami na uszach. Ale muzyka z kasety Jupitera niezbyt mu odpowiadała. Przymknął oczy. I nie mógł usłyszeć skrzypnięcia drzwi. Kątem oka dostrzegł tylko jakiś cień. Zanim otworzył usta, poczuł cios w podbródek i drugi prosto w słoneczny splot. Fiknął koziółka, lądując poza kanapą. Ból, potężny niczym tornado, obezwładnił ciało. Po chwili leżał jak placek rozjechany drogowym walcem. Gwiazdy rozpryskiwały się nad potylicą, więc jęczał cicho, choć sam o tym nie wiedział.

- Dobrze, że jeszcze jesteś, Bob - Jupiter zamknął drzwi. - Sporo się dowiedzieliśmy...

Bob zahuczał zza kanapy. Jupiter zajrzał tam zdziwiony.

- Co ci? Brzuch cię boli? Wezwać ciotkę, lekarza czy grabarza? Bob, ocknij się! Wiem, że nie lubisz słuchać Lennona, ale czy nie przesadzasz? Wstań! I nie mów, że się pośliznąłeś na mydle!

- Nie powiem - wystękał Andrews, wracając z zaświatów. - Ktoś mi dołożył.

- Niemożliwe! Czekaj, pomogę ci. - Jupe przykucnął. Andrews na szczęście dochodził do siebie. Oddychał coraz łatwiej. - Kto tu był?

- Niech mnie gęś kopnie, jeśli wiem. Jakiś typ. Wpadł, dał mi w łeb i wypadł.

- To najkrótszy meldunek policyjny, jaki słyszałem - wymruczał Jupe, podając przyjacielowi otwartą puszkę coli. - Trzeba skombinować jakieś zarcie, bo w lodówce jest jedynie światło. Mówił coś?

- Kto?

- Twój pogromca, naturalnie.

- Nic.

Jupiter wzrokiem omiół wnętrze wozu. Wyglądało normalnie.

- Gdyby oberwał Pete, mógłbym przypuszczać, że to jakiś zazdrosny mąż lub narzeczony. Ale ty?

- Żarty sobie stroisz? - Bob zaszczekał zębami o brzeg puszki. - To był cień. Błyskawica. Zachował się jak...

- Jak kto?

- Bruce Lee. Mistrz karate.

Jupiter westchnął.

- Oglądasz za dużo filmów. Daj sobie z nimi spokój. Nie masz warunków. Ja zresztą... też nie. Hej, żyjesz?

Bob obmacywał głowę i szczękę.

- Podbródek w porządku. Guz rośnie za uchem. Daj lodu. Oprócz światła, w lodówce powinien być lód.

- Gdzie są zdjęcia? - Jupiter grzebał wśród papierów.

- Jakie? - Bob przykładał kostki lodu owinięte brudną ścierką.

- Te, które dostaliśmy od Caroline. Biało-czarne fotki. Bob, dobrze się czujesz?

- Jak facet, który skoczył z trampoliny do pustego basenu. Nie ma tych zdjęć? Leżały na wierzchu.

Jupiter klasnął w dłonie.

- No, to już wiem, dlaczego rąbnięto cię w łeb. Ten, kto to zrobił, zabrał fotki Blacka i jego kolegów. Odwieźć cię do domu?

- Byłoby miło.

Następnego dnia zebrali się wszyscy w Kwaterze Głównej. Guz na głowie Boba wyraźnie zmalął. Ale humoru mu to nie poprawiło.

- Cała tajemnica kryje się w zdjęciach - powiedział. - Ktoś najwidoczniej boi się, że dojdziemy prawdy.

Pete czuł potrzebę działania. Natychmiast.

- Co z wyprawą nad Big Bear?

Jupiter Jones chrupał cebulowe ciasteczka.

- Ona się zgadza. Pojedziemy toyotą w sobotę.

Bob skrzywił się, jakby połknął cytrynę.

- Ludzie! Cały Golden State jeździ tam w weekendy. Ponad siedem milionów mieszkańców opuszcza swe klimatyzowane domy, by się udać w góry do swych drugich, klimatyzowanych domostw! To szaleństwo!

- I love you, California! - zanucił Pete. Ten hymn stanowy znały wszystkie dzieci od przedszkola. Wiedziały także, że na fladze jest niedźwiedź, symboliczne drzewo to sekwoja, stanowy kwiat to mak kalifornijski, a ptak - przepiórka.

Jupiter machnął dłonią.

- Caroline może jechać wyłącznie w sobotę. Po zamknięciu baru. Więc jak?

Wzruszyli ramionami.

- Klient zawsze ma rację! - skonstatował Bob. - Żeby chociaż wyprawa dała jakiś rezultat.

Tego, na razie, nikt nie wiedział.

Był wieczór. Trzej Detektywi w pełnym turystycznym rynsztunku czekali, aż łysy zamknie bar. Jak na złość para turystów grymasiła nad talerzem kurczaka w pomidorach.

Caroline, w obcisłych rybackich i dużym słomkowym kapeluszu, wprowadziła chłopców w zachwyt. Jej niezwykle, słoneczne włosy wiły się wzdłuż policzków, opadając na ramiona. Pomimo codziennej ciężkiej pracy wyglądała świeżo i wesoło.

- Dobrze, że znalazłam zapasowe kluczyki do wozu. Były w puszcze po herbacie.

- Fajnie. Ale czy masz dobrą mapę? - spytał Bob. - Bo ja mam. Usiądę z przodu.

Pete z Jup'em zgrzytnęli zębami. Ale nie protestowali. Bob zawsze pilotował. Znał się na mapach, zjazdach i skrótach najlepiej z nich wszystkich.

Ruszyli. Caroline prowadziła szybko i pewnie. Widać było, że ma wieloletnią wprawę. Po drodze opowiedzieli jej o kradzieży zdjęć. Nie wspomnieli tylko o guzie na głowie Boba. Bali się, że przestraszona zmieni plany.

- Mam jeszcze jedno! - ucieszyła się. - Znalazłam w tomie encyklopedii. Przeszukali cały regał z książkami, ale encyklopedia leżała osobno. - Wyjęła z kieszeni kartonik.

- Nie puszczaj kierownicy! - stęknął Jupe.

Roześmiała się. Pete pochylił głowę.

- To samo tło. Ci sami faceci. Tyle że inna pora roku.

Chata była stara. Zbudowana ze sto lat temu z grubych sosnowych lub jodłowych pni. Małe okienka, podzielone szybami na cztery kwadraty, nie wpuszczały zbyt wiele światła. Taras, z prostych, grubych desek, miał nad sobą spory daszek i porządne, solidne podpory z obu stron. Traperskie siedlisko otaczały potężne drzewa. Na zdjęciu widać było tylko pnie z grubą, tu i ówdzie spękaną korą. Faceci w kowbojskich kapeluszach siedzieli na zmurszałych schodkach. Dwaj ogoleni, jeden zarośnięty niczym niedźwiedź.

- Brodę ma. I chyba wasy - mruknął Crenshaw, wręczając kartonik Jupiterowi.

- I sztucer. Dwururka na grubego zwierza.

Bob zmierzwił i tak rozczochraną grzywę.

- Przecież tam nie wolno polować. To rezerwat przyrody. Ścisły rezerwat!

- Może człowiek z lufą jest leśnym strażnikiem na państwowej służbie? Im wolno chodzić z bronią.

Samochód gładko pokonywał pierwsze wzniesienia. Wbrew przypuszczeniom na

szosie nie było tłoku. Dziewięćdziesiąt kilometrów do San Bernardino pokonali, śpiewając na głos piosenki z dzieciństwa.

- Pamiętasz czasy, gdy tu mieszkałaś? - spytał Jupe, kiedy stanęli, by coś zjeść.

- Naturalnie. Miałam wtedy dwanaście lat. Chcesz pomidora?

Jupiter chciał. Nie tylko pomidora. W ciągu piętnastu minut postoju na parkingu przy trasie turystycznej pochłonął cztery tartinki z indykiem, dwa rybne burgery z sałatką, pięć ciasteczek imbirowych i dwie puszki seven up.

- Jupe, przestań! - jęknął Pete. - Ten piknikowy koszyk MA dno!

Caroline roześmiała się.

- Nie szkodzi. Wzięłam mnóstwo jedzenia. Teraz nasycony Jupe prowadzi wóz!

Droga wspinała się serpentynami na górskie stoki, osiągając wysokość pięciuset metrów nad poziom Pacyfiku. Gdzieś w dole zostały plantacje cytrusów i rozległe plamy zielonych winnic. Otwarte okna pozwalały wdychać zapach świeżego igliwia. Wzdłuż drogi rosły potężne drzewa o niebotycznych konarach.

- Wiecie - westchnął Bob - czuję się jak maleńka mrówka, część ziemskiego ekosystemu.

- Poeta - roześmiał się Pete. Bliskość Caroline sprawiała, że przestał się wiercić. Wdychał zapach jej włosów i mógł tak tkwić do końca świata. A nawet o dzień dłużej.

Bob z Jupiterem znów śpiewali na cały głos. Góry wznosiły się i chowały.

- Jedzie za nami od San Bernardino - powiedział nagle Bob, rzucając okiem w boczne lusterko.

- Kto?

- Żółty pikap. Stary wóz z lat sześćdziesiątych. Zauważyłem go na parkingu.

- I nic nie mówiłeś? - zdziwił się Jupe.

Bob wzruszył ramionami.

- To normalne, że ktoś jedzie z tyłu. Szczególnie w piątek po zmroku. Ale ten mógł nas wyprzedzić. Już dawno. A on zwalnia, kiedy my zwalniamy.

Wszyscy umilkli. To mógł być zbieg okoliczności. Ale nie musiał.

- Kto nas może śledzić? - zastanawiał się głośno Crenshaw. - Ci ze zdjęcia? Nie wiedzą, że ich szukamy.

- Może faceci, którzy przetrząsnęli mój dom? - przestraszyła się Caroline.

- Albo ten, który dał mi w łeb? - przekonywał Bob. - Chciałbym, żeby to był on. Obedrę go ze skóry, a potem zakopię w mrowisku.

Jupiter wyraźnie zwolnił. Znak drogowy wskazywał parking ze stacją benzynową za

dwieście metrów. Żółty pikap też zwolnił.

- Wjadę tam. Czas na toaletę.

Wszyscy wiedzieli, że to zwykły podstęp. Gdy wysiedli, by rozprostować nogi, Jupiter szepnął do Crenshawa:

- Weź Boba i cichutko podejdźcie do tego żółtka. Jak Indianie. Ani jedna gałązka nie może trzasnąć. Rozejrzyjcie się. Ja nie spuszczę Caroline z oka. Już!

Obaj detektywi skinęli głowami. Gdy tylko Jupe z dziewczyną oddalili się w stronę oświetlonej stacji benzynowej - dali nura w ciemność.

- Widzisz coś? - szepnął Bob. - Mam małą latareczkę.

Z żółtego pikapa wysiadł mężczyzna w skórzanej kamizelce nabijanej ćwiekami. Wyglądał jak traper Sępi Dziób z opowieści o Indianach. Mimo zwalistej budowy poruszał się dziwnie lekko. Nie zamknął wozu. Oparł się o drzwiczki, zapalając papierosa. Zapalki nie rzucił na ziemię, jakby to zrobił zwykły turysta. Umieścił zużyte drewno w pudełku.

- Trzeba się mieć na baczności - syknął Pete. - Facet wie, jak się zachowywać w rezerwacie. Uwaga...

Zwalisty szedł w kierunku światła. Teraz widać było jego kocie ruchy. Śledzili go bezszelestnie. Nagle przystanął, zrobił błyskawiczny zwrot w tył i ostrym reflektorkiem omiół postaci obu detektywów. Pete i Bob zamarli w bezruchu.

- No, wyłaście! - powiedział głębokim basem. - Słyszać was na odległość kilometra.

Cóż mieli zrobić. Wyleźli. Nie wiedząc kiedy w ręku obcego pojawił się pistolet.

- Co pan? - wrzasnął Bob. - Będzie pan strzelał do bezbronnych?

Mężczyzna głośno się roześmiał.

- Jazda! Do stacji benzynowej! Chcę was mieć wszystkich razem.

Nie mieli nic do powiedzenia. Szli z podniesionymi dłońmi, a duma i niezniszczalny honor najlepszych detektywów wlokły się wraz z ich cieniami. Nie była to najweselsza chwila w życiu.

Jupiter Jones załamał rękę. Caroline skuliła się.

- Złapał was?

- Złapał - warknął Bob. - Ale ta robota zaczęła mu zżerać mózg, który, jak wiemy, nie jest większy od hamburgera.

ROZDZIAŁ 4

KIM SIĘ OKAZAŁ ZWALISTY?

- Nie podskakuj! - Nieznajomy chował broń do kabury. - Śledzę was od dość dawna, jestem sierżant King...

- Z Królewskiej Konnej! - ucieszył się Jupe. Od dziecka pamiętał najślynniejszy komiks o przygodach dzielnego sierżanta Kinga z kanadyjskiej Królewskiej Konnej.

- Nie całkiem - zwalisty nie miał wielkiego poczucia humoru. - Na imię mi Stan. Posterunek policji w Rocky Beach powiadomił mnie, że włączyliście się do pewnego śledztwa...

Jupiter tupnął.

- Mat Wilson! Tak? Zawsze się miesza do naszych spraw, a potem spija śmietankę! Rozszyfrowaliśmy już niejedną zagadkę. Ale Mat wciąż przeszkadza!

King założył palce za pasek spodni.

- Znam Mata. O was też słyszałem.

- Od kogo? - zdumiał się Bob. - Nie znamy ludzi z San Bernardino.

- Czyżby nasza sława sięgnęła największego hrabstwa?

- Dobra! - warknął Stan. - Koniec z komplementami. Chcę wiedzieć, dokąd jedziecie.

To jest moje terytorium.

- Pan na włościach! - syknął Pete, postępując krok do przodu. - Ameryka to wolny kraj! Obywatele mają prawo podróżować, dokąd zechcą.

- Zgoda - King nie był zbyt rozmowny - ale nie z bronią w bagażniku! Nie macie pozwolenia!

Jupiter stał z opuszczoną szczęką.

- Z bronią? Nie mamy żadnej!

- Tak? - Oczy Kinga lśniły. - Poproszę o kluczyki. Otworzymy, zobaczymy!

Caroline drżała.

- Ja nic... ja nie...

Pete opiekuńczo objął ją ramieniem.

- Nie bój się. Nic ci nie zrobi. Jest glina.

Wszyscy otoczyli bagażnik. Toyota dostawcza, oprócz obszernego bagażnika, miała też wyjmowane ostatnie siedzenia. W razie większej ilości towarów, przestrzeń bagażową łatwo można było podwoić.

Stan King zrobił to bez wysiłku. On wszystko robił bez wysiłku. Oczom czwórki podróżników ukazał się pakunek owinięty w koc. Po chwili w ręku sierżanta zalśniła długa lufa.

- Dwururka. Dobra na niedźwiedzie. I zapas naboju. Zgadza się?

Caroline zbladła jak ściana.

- Nic o tym nie wiedziałam! Ojciec nigdy nie używał broni. Żadnej. Nie mam pojęcia, skąd się wzięła!

Sierżant spokojnie przynosił zdobycz do swojego samochodu.

- Głęboko w to wierzę. To znaczy, że nic o tym nie wiedziałaś, Caroline...

- Pan zna moje imię?

- Tak. Twój ojciec, Thomas Black, był moim przyjacielem. Do czasu, kiedy nim być przestał.

- Zna pan osobę, której szukamy? - wycedził Pete. - Wie pan, gdzie jest ojciec Caroline?

Sierżant wrzucił zrolowany koc do wnętrza toyoty.

- Nie. I nic mnie to nie obchodzi. Black postąpił głupio i teraz ma kłopoty. Jeśli żyje, naturalnie...

Caroline zaczęła głośno płakać. Crenshaw ocierał jej łzy rękawem własnej koszuli.

- Pan wie, gdzie on jest, prawda? - Jupiter Jones podszedł do sierżanta. Niemal stykali się torsami.

Stan King położył na ramieniu Jupitera dłoń ciężką niczym młyński kamień.

- Słowo policjanta: nie wiem. Jedno ci tylko zdradzę, młody detektywie, wszystko zaczęło się w San Bernardino na długo przed urodzeniem się tej oto pięknej damy. Przyszłość Blacka łączy się nierozzerwalnie z przeszłością. On wiedział, że od niej nie ucieknie...

- Był... zbrodniarzem? - przeraził się Jupiter.

- Nie. Głupcem. - King ukazał zęby w szerokim uśmiechu. Trochę przypominał aligatora. - I jeszcze jedno, detektywie. Sprawa dotyczy wielu ludzi. I, podejrzewam, ogromnych pieniędzy. Bardzo się narażacie, panowie. Ona także: Caroline.

Odjechał, sprawnie wykręciwszy wóz. Czwórka przyjaciół stała na środku szosy, jak przydrożne kamienie.

- W tym musi tkwić jakaś straszna tajemnica! - wybąkał Andrews, czując, że miękną mu kolana. - Caroline, myśl, co to takiego.

- Może chodzi o twoją matkę?

Dziewczyna otarła łzy. Odsunęła pomocną dłoń Crenshawa.

- Moja mama umarła, kiedy miałam pięć lat. Nie pamiętam jej. Zostały zdjęcia, ale album ukradziono. Pracowała w biurze. Jest pochowana na cmentarzu w Redlands. Stamtąd pochodziła. Nic więcej nie wiem. Wychowywał mnie tato.

- Nigdy nie widziałaś tej strzelby w bagażniku?

- Nie. Ale też nie zaglądałam tam. Wozem zajmował się ojciec. Wiem, że nie polował. Nie znosił zabijania zwierząt. Denerwowały go także wszelkie badania laboratoryjne. Te psy... szczury...

- Słuchajcie, już późno. Trzeba się przespać. Caroline na kocu, z tyłu. Bob i ja tutaj. Jest dużo miejsca.

- A ja? - westchnął Pete.

- Ty czuwasz. Cztery godziny. Później zbudzisz Boba.

Crenshaw wydmuchał powietrze z płuc.

Jones wzruszył ramionami.

- Kierowca musi być wyspany. Nie sądzisz?

I na tym stanęło. Parking przy stacji benzynowej wydawał się miejscem ze wszech miar bezpiecznym.

Rano, gdy tylko słońce wyszło zza ośnieżonych szczytów, obudziło ich pukanie w szybę. Pierwszy ocknął się Bob. To on powinien czuwać, ale zasnął.

- Co? Kto? - wymruczał, otwierając oczy.

Mężczyzna stojący obok toyoty miał mundur i czapkę kalifornijskiej służby leśnej. Na ramieniu, lufą w dół, zwisała klasyczna dwururka. Identyczna jak ta zabrana przez sierżanta Kinga.

- Otwórzcie okno. Przyszedłem, bo kierownik stacji benzynowej dał znać, że przez całą noc stoi tu wóz z ludźmi w środku.

Jupiter gramolił się z siedzenia. Bolały go kark i lewe ramię. Pete chrapał z wyciągniętymi nogami. Caroline pod postacią kraciastego tobołka spała, naciągnąwszy sweter na głowę.

- Wszystko w porządku - raportował Bob, przyglądając sterczące kosmyki. - Zaraz zjemy śniadanie i ruszamy do jeziora Big Bear.

Jupiter błyskawicznie ocenił sytuację. Spał dobrze przez całą noc i był gotów do działania. Wyrzebał czarno-białe zdjęcie i pokazał strażnikowi.

- Może pan wie, gdzie jest ta chata?

Leśnik zdjął czapkę. Na czole pozostał odcisnięty ślad. Mężczyzna był wyraźnie

stropiony.

- Skąd... skąd macie to zdjęcie? - wyszeptał. Wyglądał jak człowiek, który o dwunastej w południe ujrzał ducha.

Caroline zaczęła się rozwijać z koca. Noc w górach nie należała do najcieplejszych.

- Kim jest ten pan? - spytała, przeczesując palcami włosy.

Na jej widok strażnik cofnął się przerażony.

- Isabella?

Pete usiadł wyprostowany.

- Nie nazywa się Isabella, tylko Caroline - wyjaśnił, otwierając drzwi.

Leśnik pomału przychodził do siebie.

- Znam tę chatę. I ją - wskazał palcem. - Jest chyba córką Isabelli.

Caroline przepychała się do wyjścia. Pete podał jej dłoń. Stali oparci o maskę wozu, wpatrzeni w zielony mundur.

- Tak - odpowiedziała dziewczyna, narzucając kurtkę. - Moja mama miała na imię Isabella. Pan... pan ją znał?

Leśnik z trudem ukrywał wzruszenie.

- Jesteś tak do niej podobna, że... zapomniałem o dwudziestu latach. Kiedy wyszła za Thomasa Blacka, myślałem, że... - machnął dłonią. - Ja tu gadam, a wy pewnie głodni...

- Mamy kanapki - powiedział poważnie Bob. - I herbatę miętową w termosie.

- Mówił pan, że zna tę chatę. Gdzie ona jest?

- W ścisłym rezerwacie. Turystom nie wolno tam wchodzić. Nie mamy tu byle jakich zagajników, tylko potężne bory. Chata jest w bok od Ścieżki Jeleni.

- Mógłby nas pan tam zaprowadzić! - cichutko pisnął Bob. - Umiemy się poruszać po lesie. Uczono nas tego przez ostatnie pięć lat szkoły. Mamy kompas, latarki, sprzęt i zapalki sztormowe.

Strażnik pokiwał głową.

- Właśnie te zapalki mnie martwią. Czy ktokolwiek wam mówił, że w lasach w ogóle nie wolno palić ognisk? To jest rezerwat przyrody, synkowie. Są dzikie zwierzęta. Sarny, jelenie. A i niedźwiedź się trafi. Dlaczego szukacie chaty nad Big Bear?

- W poszukiwaniu przeszłości - westchnął Jupiter.

Strażnik wahał się. Wciąż spoglądał spode łba na Caroline. Widać i jego dopadła przeszłość.

- Bywałem tam dwadzieścia parę lat temu - westchnął. Jego krótki, siwiejący wąs drgał niebezpiecznie. - Pamiętam strumień, wielkie omszałe kamienie i paprocie do ramion. I

drzewa... potężne pnie o spękanej korze...

Caroline już całkiem doszła do siebie. Przeczesła grzebieniem świetliste włosy.

- Pan... się kochał w mamie?

Strażnik umilkł. Znów zdjął czapkę. Pytanie wyraźnie go zaskoczyło.

- No... wszyscy się w niej kochali. Wygrał Black. Sam nie wiem, dlaczego. Nazywam się Hunter. Jerry Hunter. Na tym zdjęciu jestem z lewej strony.

- A facet z brodą? Kim jest? - spytał Bob.

Hunter zawahał się.

- Złym człowiekiem. Wszystko przez niego...

- Co? - Pete robił przysiady. Musiał się rozruszać.

Coś zapiszczało, zatrzeszczało i rozległ się niewyraźny głos:

- Hunter? Gdzie cię nosi, do diabła? Znalezione zwłoki. Facet z rozbitą głową. Okolice Dahave. Wracaj natychmiast! Bez odbioru!

Radiotelefon wyłączył się. Hunter wcisnął czapkę i ruszył kłusem. Gdzieś tam, niedaleko, stał jego samochód terenowy. Usłyszeli pisk opon.

- Ależ mamy pecha! - wściekał się Jupiter Jones. - Wszyscy oni coś wiedzą, ale żaden nie puści pary z ust!

- Jacy: oni? - Bob pochylał się nad mapą.

- Obaj. Sierżant King z Królewskiej Konnej i ten strażnik niedźwiedzi. Znali twego ojca, Caroline, matkę i, co najważniejsze, tajemniczego brodacza ze zdjęcia. Czemu nie chcą gadać?

Crenshaw robił pompki. Czterdzieści. Nawet się nie zasapał.

- Wiemy, gdzie jest chata. Ale gdzie ścieżka? - Andrews pukał palcem w mapę terenową. Była to porządna wojskowa mapa, a raczej jej ksero z Biblioteki Historycznej w Rocky Beach.

- Tu jest Ścieżka jeleni - powiedział nachylony Jupiter Jones. - Stara indiańska nazwa. Można podjechać wozem aż do ośrodka turystycznego Big Bear. Jedziemy?

Caroline skinęła głową.

- Dobrze. Tam umyjemy zęby, zjemy śniadanie i pójdziemy poszukać chaty. Samochód zostawimy na strzeżonym parkingu.

Jak postanowili, tak zrobili.

O dziesiątej ruszyli w las. Wzięli plecaki, jedzenie, latarki i to wszystko, co przydatne jest w prawdziwej wyprawie przez głuchy bór. O tym, że wkroczyli na teren rezerwatu, starali

się w ogóle nie myśleć. Prowadził Crenshaw, sprawnie posługując się kompasem. Pete był w swoim żywiole. Lubił się ruszać, chodzić. Gorzej czuł się Bob. Jako typowy książkowo-komputerowy mól wolał krzesło przed lśniącym ekranem. Jupiter z Caroline z zachwytem spoglądali na prześwitujące między drzewami dalekie, ośnieżone szczyty. W południe zdjęli plecaki i rozłożyli się na polance. Zjedli placki z zimnym kurczakiem, popijając herbatą.

- To ma dziwny smak. Co to jest?

- Herbata z mięty.

- Czy ktoś to przeżył?

Bob zastygł z kubkiem w dłoni.

- Tam - powiedział, bodąc dłonią powietrze.

- Co? - zdziwił się Jupiter. - Niedźwiedź?

Caroline podniosła się z kamienia. Pete był szybszy. Chwycił dziewczynę mocno za ramię.

- Nigdy sama nie odchodź. Widzę. Co to jest?

Tajemniczy przedmiot, powiewający na jednej z niskich gałęzi potężnej jodły, okazał się... chustką na szyję.

- Drogi łaszek - stwierdziła Caroline. - Jedwab. Czerwono-granatowy. Kosztuje ze sto dolarów.

- Nie żartujesz? - wykrzyknął Bob.

- Nie. Znam się na tym. Pochodzi z bardzo dobrego butik. - Powąchała delikatną tkaninę. - Pachnie francuskimi perfumami.

- Nie zostawiła jej żadna klempa - Pete uważnie rozglądał się dookoła - ktoś tędy szedł przed nami. I nie zgubił tej chustki.

- Nie?

- Zostawił ją jako znak.

Jupiter uważnie badał wysokość.

- Tak jest. Crenshaw ma rację. Ktoś tę szmatkę powiesił na gałęzi.

Bob nerwowo poprawiał okulary.

- Może znak, żeby wiedzieć, którędy wrócić? W lesie nie można kruszyć bułki, by skorzystać ze śladów. Ptaki zjedzą.

Jupiter już nie czuł się tak szczęśliwie jak przedtem, ale nie chciał, by pozostali coś zauważyli.

- Od tej chwili panuje cisza. Słuchamy nieznanych odgłosów... kroków...

Caroline zawijała resztę kanapek w ściereczkę.

- Ja nie odróżnię człowieka od misia. Dopiero jak zacznie na nas ryczeć...

Pete roześmiał się. Ale wszystkim było jakoś dziwnie.

- Zachowujmy się jak starzy traperzy i...

Ostry krzyk nad głową zamknął Crenshawowi usta.

- Co to? - wzdrygnął się Bob.

- Ptak - odparł niepewnie Jupiter Jones. - Jakiś duży ptak. Idziemy!

Daleko nie uszli. Prowadzący przystopował, pochylił się, szukając czegoś na ścieżce.

- Guzik - powiedział, podnosząc srebrzysty, okrągły przedmiot.

- Od damskiego kostiumu - Caroline odgarnęła włosy - też drogiego.

- Chcesz powiedzieć, że tędy szła Claudia Schiffer, najstynniejsza modelka świata, porzucając co parę kroków garderobę i biżuterię od Tiffany'ego? - Bob zaczął się pocić.

- Nie wiem. Ale to nie jest guzik od traperskiej koszuli. Srebrny, z czarnymi szkiełkami!

Pete uważnie rozglądał się dookoła. Od razu zobaczył ułamaną gałązkę.

- Szło tędy co najmniej troje ludzi. Kobieta w pantofelkach na obcasie i dwóch mężczyzn w traperkach. Spójrzcie na ścieżkę.

W lewo odchodził wąski trakt. Ziemia wilgotna po niedawnych deszczach nie zdążyła wyschnąć. Odciski obuwia były bardzo wyraźne.

- Ścieżka Jeleni! - ucieszył się Bob, zerkając w mapę. - Zgadza się. Ktoś jeszcze idzie do chaty? Obok, na planie jest mała gwiazdka. Sprawdź w spisie znaków.

- I co? - Caroline drżała.

- Dawna faktoria - relacjonował Bob. - Handlowano w niej skórami. Kiedyś był tu dojazd, co...

Pete zagwizdał cicho. Potem położył palec na ustach.

- Ciii.

Umilkli. Crenshaw zdjął plecak i zaczął się skradać bezszelestnie. Zniknął za drzewami. Pozostali wstrzymali oddechy.

- Są ślady samochodu - Pete wynurzył się z zarośli.

- Bez sensu! - stęknął Bob. - Strażnicy mają dojazd z drugiej strony. Spójrz na mapę!

Jupiter rozejrzał się.

- To kto zostawił ślady? Niedźwiedź na gumowych kołach? Sroka na wrotkach? Tak czy inaczej, idziemy!

Uszli niedaleko. Na środku ścieżki pobłyskiwał srebrno-czarny guzik. Drugi.

- Striptizerka? Zdejmuje guziki?

Caroline schwyciła Crenshawa za ramię.

- Boję się.

Pete objął ją. Poczł się supermanem.

- Nie pozwolę, żeby ci się coś stało.

Jupiter Jones głośno westchnął. Wolał rozwiązywać zagadki bez obecności dziewczyn. Wszystko było wtedy prostsze.

Dwieście metrów dalej leżał następny guzik. Błyszczał w samym środku kałuży. Miał resztki czarnej nitki.

- Ona to wrywa - powiedział Pierwszy Detektyw surowo. - Z całej siły. Ta kobieta zostawia ślady, bo została uprowadzona!

ROZDZIAŁ 5

KTO PODPALIŁ CHATE?

Zbili się w gromadkę, ścisząc głosy.

- Wygląda na to - szepnął Pete - że dwaj faceci prowadzą kobietę. Bez jej zgody.

Zostawiła apaszkę, a teraz odrywa guziki. Jeden po drugim.

Nagle lasem wstrząsnął huk wystrzału. Potem drugi. Detektywi, pociągając za sobą Caroline, dali susa w gęste krzaki. Przykucnęli, słuchając oszalałego bicia własnych serc.

- Mają broń - zmartwił się Bob.

- Może to Hunter? Wezwali go...

- Do jakiegoś trupa - przypomniał Jupiter. - Pamiętacie, co zgrzytał jego radiotelefon?

“Znaleziono zwłoki. Facet z rozbitą głową. Okolice Dahave.” Tak?

- Tak - zgodził się Pete. - Ludzie, czujecie?

Pociągnęli nosami.

- Dym! Gdzieś się pali!

- Chata - powiedziała Caroline, zrywając się z miejsca. Jej palec wskazywał kierunek.

- Tam jest chata, której szukamy. To ona się pali!

Teraz już pozostali dostrzegli zarys drewnianego, zapomnianego przez Boga i ludzi domostwa. Spróchniałe belki, podtrzymujące zmurszały dach, niebezpiecznie trzeszczały.

- Dym wydobywa się z drugiej strony - ocenił Jupiter - jeśli pojawi się ogień, nie wiem, czym go gasić.

Crenshaw nie namyślał się długo.

- Idę na zwiad. Wy zostajecie. W razie czego wrzeszczę!

Bob skinął głową.

- To ma sens. Ale uważaj, Pete.

Dym gęstniał, pozerając szarą poświatą część drzew. Na szczęście nie widać było płomieni. Czekali z drżeniem serc. Jupiter czuł, jak mu po plecach ściekają strużki potu. Najgorsza w życiu detektywa jest beczynność. Już lepiej, kiedy ścigają, strzelają. Wtedy wiadomo, gdzie wróg. Na szczęście z dymu wychynął Pete.

- Jest stara studnia z wiadrem na łańcuchu. Pali się w środku chaty. I... słyszałem kaszel. Trzeba rozwalić drzwi, bo są zamknięte. Nie możemy dłużej czekać!

Jupiter zrzucił plecak. Za nim poszli Caroline i Andrews.

- Ukryj te rzeczy. Bob. A potem dołącz do nas. Pete, masz saperkę?

Pete nie odpowiedział. Wbiegł po spróchniałych stopniach i szarpnął. Bez rezultatu. Dym gęstniał.

- Ja podważę, Jupe, ciągnij! Prędko! W środku ktoś jest!

Udało się za trzecim razem. Wpadli w ciemność i w gęsty dym. Snop światła z silnej latarki wyłuskał stary, porysowany nożem stół, lampę naftową wiszącą pod sufitem, mocne, wyciosane z drewna prycze i krzesło, do którego przywiązana była kobieta. Z kąta, gdzie stała solidna żelazna kuchnia, wypełzały na podłogę płomienie.

Pete rzucił się na pomoc. Zaczął rozcinać nożem gruby sznur, ale dym nie pozwalał oddychać. Bob ciągle omiatał latarką kąty. Dostrzegł butlę z gazem turystycznym.

- Pete, szybko! Tu jest gaz! Może wybuchnąć!

Pete musiał w sekundzie podjąć decyzję. Ktoś, kto skrępował swą ofiarę, umiał to robić. Prawdziwe marynarskie węzły.

- Jupe! - krztusił się. - Wiadro wody!

Jupiter Jones poczuł, jak wstępuje weń duch walki. Nie miał tyle sił, co wysportowany Crenshaw, ale wspólnie z Caroline ruszyli zardzewiałą korbę. Wiadro z pachnącą stęchlizną wodą zalało płomień sięgający butli. Pete nie miał innego wyjścia. Szarpnął stołek, do którego przywiązana była kobieta, i wywłókł go razem z nią. Teraz już wszyscy pomagali, jak mogli. Nikt z nich nawet nie zwrócił uwagi na straszliwy hałas, jaki robił krążący nad drzewami helikopter.

Kobieta zaczęła dawać oznaki życia. Raz czy dwa wciągnęła ożywcze powietrze. Miała czekoladową twarz, szeroki, murzyński nos, krótkie włosy i czarny kostium... bez guzików przy rękawie.

- Hej, żyje pani? Bob, Pete, wylejcie jeszcze parę wiader, bo inaczej cała chata pójdzie z dymem! - Jupiter wachlował półprzrytomną ogromnym liściem łopianu. - Hej, proszę się odezwać!

Ostry atak kaszlu spowodował, że otworzyła oczy.

- Co? Kto? - wychrypiała. - Gdzie oni?

- Kto?

- Ci, którzy mnie skrępowali. Gdzie są?

Jupiter ostrożnie rozcinał sznur krępujący jej kostki.

- Spokojnie. Nie ma nikogo. Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Jesteśmy detektywami. Szukamy śladów pewnej uprowadzonej osoby. Jak się pani nazywa?

- Susie Lynn. Jestem dziennikarką z popołudniówki "California Examiner". Mój samochód...

- Proszę nie mówić, tylko głęboko oddychać. Mogła się pani zatruć na śmierć!

Wrócił Pete z Caroline. Oboje usmoleni.

- Co jest?

- Żyje. Dziennikarka. Nie powinna na razie mówić. Gdyby nie my, zaczadziałyby przed spaleniem. Co z chałupą?

- Dymi - raportował Bob. - Ktoś polał drewno benzyną. Na szczęście gałęzie były tak wilgotne, że... helikopter ląduje tu gdzieś niedaleko. Powinniśmy schować się głębiej w lesie. Przecież nie wiemy, czyja to maszyna!

- Może pani wstać?

Nie mogła. Kiedy Pete z Jupiterem zastanawiali się nad skonstruowaniem noszy, zza drzew wypadło trzech mundurowych.

- Ręce do góry!

Caroline i Bob natychmiast spełnili rozkaz. Jupiter próbował mediacji.

- My nie jesteśmy podpalaczami...

- Ręce na kark i ani słowa!

Pete wzruszył ramionami.

- W porządku. To straż leśna.

Zamieszanie sięgało szczytu. Z helikoptera przyciągnięto sprzęt gaśniczy. Dwadzieścia minut później było po wszystkim. Ale chata przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Nadszedł dowódca. Gdy się odwrócił, Caroline krzyknęła:

- Pan Hunter! Jak dobrze!

- Znasz ją, Jerry? - zdziwił się człowiek w mundurze, pilnujący całej piątki.

- Tak. Puść ich. Kim jest kobieta?

Pete wzruszył ramionami.

- Gdyby pańscy ludzie nie zachowywali się jak niedźwiedzie, tylko słuchali, co się do nich mówi, dawno by się dowiedzieli, że uratowaliśmy z płonącej chaty skrupowaną dziennikarkę. I to nam należą się podziękowania.

Jerry Hunter pochylił się nad Susie.

- Czy coś panią boli?

Przecząco pokręciła głową.

- Nie. Oni rzeczywiście wywlekli mnie z chaty w ostatniej chwili. Byłam skrupowana i zakneblowana. Ma pan może trochę wódki?

Jerry Hunter nie okazał zdziwienia. Zza pazuchy służbowej kurtki wyjął płaską "piersiówkę". Odkręcił korek i podał ją Susie. Łyknęła, zakrztusiła się i łyknęła ponownie.

- Dość! - rzekł stanowczo. - Może pani powiedzieć, co tu się stało?

Skupili się wokół niej wszyscy. Nawet strażnicy z butlami.

- Jechałam samochodem do tej chaty.

- Tu jest ścisły rezerwat - przerwał Jerry, śmiesznie ruszając wąsem. - Nie widziała pani znaków?

- Widziałam. Ale to nie była wyprawa na maliny. Pracuję nad materiałem dla "California Examiner". Nie mogę powiedzieć, o co chodzi. To dość tajemnicza sprawa związana z przemysłem lotniczym w San Bernardino i w San Diego.

- To tak jak my! - jęknął Bob.

Pete zmroził go wzrokiem.

- Kolega chciał powiedzieć, że...

Jerry Hunter podniósł dłoń.

- Dość! Zabieramy panią do szpitala. Helikopterem. Natychmiast.

- A mój wóz? Został przy wjeździe...

Jupiter Jones wyciągnął dłoń.

- Proszę zostawić kluczyki. Zaprowadzę samochód na parking tam, gdzie zawsze stoi.

- W San Bernardino. Przed redakcją.

- Oczywiście. Mam prawo jazdy.

Hunter odszedł na bok porozmawiać z grupą leśnych ratowników.

- Kto panią zamknął? - szepnęła Caroline. - Szliśmy po znakach. Tu jest apaszka. A tu guziki.

Dziennikarka uśmiechnęła się z trudem. Wciąż wstrząsały nią napady ostrego kaszlu.

- Dwóch bandziorów. Jeden miał policzek przeorany czerwoną blizną.

- Joe Knopf! - mruknął Pete. - Nasz stary przyjaciel z supermarketu!

Susie Lynn zabłysły oczy.

- Znać go?

- A jakże. I paru innych. Pewnie zalazła im pani za skórę. Tak jak my. Też przyszliśmy przeszukać chatę. Zna pani tego z brodą? Tu na zdjęciu?

Susie pochyliła głowę. Jej silnie skręcone włosy pachniały dymem.

- Jeśli się nie mylę to... Edgar Morrison. Skąd macie to zdjęcie?

- Długa historia - rzucił Jupe, chowając fotkę. - Zdradzimy nasze tajemnice, jak nam pani zdradzi swoje. I będziemy mieli czas na przeszukanie chaty.

- Co nie będzie łatwe - wtrąciła Caroline. - Wszystko zalane jak nie wodą, to pianą gaśniczą.

Jerry Hunter zbliżył się wraz z ekipą.

- Przeniesiemy panią do maszyny.

- A moja torebka? Została gdzieś w chacie. Tam są kluczyki i karty kredytowe.

- Znajdziemy! - zawołał Pete.

- Nie zezwalam! - zezłościł się Hunter. - Zobaczyliśmy dym ze stacji obserwacyjnej.

Zrobiliśmy namiar. Gdyby nie helikopter, skończyłoby się pożarem lasu!

- Gdyby nie my - warknął Jupe - pani Lynn by już nie żyła! Nie podpalimy chaty. Znajdziemy to, czego szukamy, i najpóźniej wieczorem będziemy na stacji benzynowej. Jest nam pan winien przysługę.

- Prosimy! - zabiadoliła Caroline, robiąc słodkie oczy.

Tego już strażnik leśny nie wytrzymał.

- Zgoda. Ale przed zmrokiem macie opuścić to miejsce. Słowo?

- Skauta! - Pete zasalutował do gołej głowy.

Warkot helikoptera ucichł. Dym rozproszył się i znów widać było wokół potężne pnie drzew. Tylko chata wyglądała żałośnie.

Chłopcy sprawnie zabrali się do pracy. Omijając co większe kałuże wody i resztki piany, omiatali latarkami ciemne bierwiona, spróchniałe półki i szafki kryjące w swym wnętrzu ślady po gryzoniach.

- Czego właściwie szukamy? - Caroline wyglądała niczym komandos z filmu "Rambo III". Smugi po spaleniźnie rozczuliły Crenshawa.

- Zostań na zewnątrz. Popilnuj naszych rzeczy. Bo my...

- Nie wiemy, czego szukamy - dokończył Jupiter. Jego latarka wydobyła z mroku drewnianą skrzynkę. Stała tuż pod pryczą, zasłonięta zwisającą szmatą, która niegdyś, zapewne, była kocem. - Tu.

Pete szarpnął za żelazny uchwyt. Skrzynka ledwo drgnęła.

- Może to są skarby Alladyna? - westchnął Bob. Miał czarny nos i czarne dłonie. We włosach sterczały śmieszne kupki z piany. Niczym rogi.

- Wyglądasz jak diabeł z Halloween! - roześmiał się Pete. - Zaraz zobaczymy te perły, diamenty i... - wieko skrzynki odskoczyło, gdy je podważył żelaznym pogrzebaczem do rozgarniania żaru pod kuchnią - stara teczka z bawolej skóry. Mocno zawilgocona. Ma inicjały... czekaj, daj trochę więcej światła. Litera E.M. Nie wiem czyje.

- Susie mówiła o jakimś Edgarze Morrisonie, pamiętasz? - Bob grzebał w skrzyni. - Ten brodacz ze zdjęcia. Trójka: Thomas Black, Jerry Hunter i nieznany jeszcze Edgar

Morrison...

Jupiter Jones skubał wargę.

- A czwarty?

- Jaki: czwarty? - zdziwił się Crenshaw.

- Ten, który zrobił to zdjęcie. - Jupiter z obrzydzeniem patrzył na stos łańców, które Bob pracowicie wyciągał z dna skrzyni.

- Mogli zrobić zdjęcie przy pomocy samowyzwalacza. Starym aparatem sprzed trzydziestu lat. - Co to? - Pete zawahał się.

Pochylili głowy.

- Pistolet maszynowy MP 5, dziewięć milimetrów. Z celownikiem hologenowym. Mam w domu album. Ojciec kolekcjonuje. Przeglądałem go tysiące razy - Bob zatrzymał dłoń o centymetr od czarnej lufy. - Nie mogę jej wyjąć. Zostawię ślady moich linii papilarnych.

- Dobra. Zawiń w szmatę. Tę kraciastą. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy teraz podbić Panamę!

Pete strzepnął kawał materiału. Okazał się koszulą traperską z naszytymi kieszeniami. W lewej coś grzechotało.

- Kawałki metalu czy coś. Dziwnie srebrzyste...

Jupiter stawał się coraz bardziej niespokojny.

- Słuchajcie, wszystkie ciuchy, pistolet i cokolwiek jest jeszcze w skrzyni, wynosimy na powietrze. Mam już dość wnętrza tej chaty.

Wyszli, ciągnąc tobolek. Wyglądali, jakby właśnie ewakuowali się z piekła. Na spoconych twarzach rozmazywały się smugi brudu.

Caroline wycierała się nad wiadrem. Na ich widok wybuchnęła śmiechem.

- Potrzebuję instrukcji, jak was domyc!

- Lepiej nam pomóż! - użalił się Jupiter. - Inaczej uwierzę propagandzie, że kobieta ma iloraz inteligencji zbliżony do kalafiora!

Nie obrażała się. Zaczęli jeszcze raz przetrząsać znalezione rzeczy.

- Ciuchy osobno. Przeszukać kieszenie - dyrygował Pierwszy Detektyw.

- Czterdzieści dwa dolary i pięćdziesiąt sześć centów - raportował Bob, opróżniając tylną kieszeń brunatnych spodni.

- Nie mów! - ucieszył się Crenshaw. - Będzie na hamburgery. Może nawet z frytkami. Dobrze, że w kraju nie było inflacji. Tyle lat!

Więcej pieniędzy nie znaleziono. Kupkę odzieży włożono z powrotem do skrzyni.

Została jeszcze stara aktówka.

- Same papiery - donosił Pete. - Jakieś rachunki bankowe, puste, zawilgocone czeki...

- Na czyje nazwisko?

Jupiter ostrożnie wziął papier do ręki i przeciągle gwizdnął.

- Nazwisko czarno na białym: Thomas Black.

Caroline przykucnęła. Wpatrywała się w jeden z czeków niczym sroka w srebrny pierścionek.

- Tu jest kwota...

Bob oblizwał usta.

- No... - wymruczał - sto milionów! Dla Thomasa Blacka. Czek wystawiony na Central Bank w San Diego! Ludzie, co za kupa forsy!

Dziewczyna usiadła na trawie.

- Nie podpisany. Ojciec nie mógłby go zrealizować. Nie wiadomo, kto go wystawił.

Bob przełykał ślinę. Dla niego tysiąc dolarów było sumą niewyobrażalną. A tu... sto milionów!

- Wystawił czek jeden z tych, co tu mieli kryjówkę - wyszeptał.

Pete z niedowierzaniem kręcił głową.

- Przecież nie Jerry Hunter! Strażnik leśny zarabia grosze. A ile się naharuje. Gdyby w ogóle miał taki szmal... nie latałby starym helikopterem nad Big Bear, tylko siedział na Hawajach, popijając margeritę.

- W takim razie zostaje ten nieznajomy, Edgar Morrison - skonstatował Jupiter, grzebiąc we wnętrzu zniszczonej aktówki. - Jest jeszcze jakaś umowa. Niestety, ten papier leżał na samym wierzchu i załała go woda. Trudno będzie cokolwiek odczytać.

- Nam tak - przerwał Bob. - Ale ojciec zna laboratorium, które się specjalizuje w ratowaniu starych manuskryptów. Ostatnio przyleciały do Los Angeles resztki odnalezionego niedawno egipskiego papirusu.

- No - pokiwał głową Crenshaw - skoro potrafią doprowadzić do ładu pismo sprzed czterech tysięcy lat, nasza umowa nie powinna nastęrczać trudności. Możesz to załatwić?

- Jasne! Pojadę jutro z tatą. Tylko... trzeba ten papier lepiej zabezpieczyć.

Caroline rozgrzebała plecak.

- Mam suchą i czystą metalową puszkę po herbatnikach.

Spakowali całą zawartość teczek. Weszła bez trudu.

- W twoje ręce. Bob. I nie zapominaj, że to są skarby. Ludzie, czek na sto milionów dolarów!

Zostało im tylko odnalezienie torebki Susie Lynn. Leżała tuż obok dziurawej miski. Widać napastnicy nie byli nią zainteresowani. Ani sporą sumą pieniędzy w portfelu.

- Są kluczyki do samochodu? - upewniał się Jupiter.

- Są. To chevrolet. Sądząc po breloczku...

Jupiter uśmiechnął się.

- Chociaż raz mi się trafił wóz na miarę Pierwszego Detektywa!

Wracali po własnych śladach. Tuż za krzyżówką, na bocznej drodze dostrzegli ciemnowiśniowe auto. Ku zdziwieniu chłopców drzwi były otwarte. Na siedzeniu leżały porzucone ciemne okulary i para rękawiczek. Skrytka była otwarta i pusta.

- Musieli ją wyciągnąć z wozu siłą - stwierdził Pete. - Nie wiemy, czy w skrytce coś było. No, Jupe! Wsiadaj i w drogę. My pójdziemy z Caroline w stronę parkingu. Zabierzemy toyotę i spotkamy się przy stacji benzynowej! Trochę to potrwa.

Jupiter Jones od godziny gryzł orzeszki, siedząc na ławce obok kosza na śmieci. Myślał bardzo intensywnie: Zaginął Thomas Black, najprawdopodobniej porwany z supermarketu "Jay and Jay" przez Joego Knopfa. Faceta z czerwoną blizną. Ten sam gagatek napadł na Susie Lynn, gdy jechała do chaty nad jezioro Big Bear. Musieli coś o niej wiedzieć. Tak się dziwnie składa, że wszyscy udawali się w tym samym kierunku. Dlaczego? Lynn, bo coś wie o Edgarze Morrisonie, który w chacie bywał. My, bo coś wiemy o Thomasie Blacku, który też odwiedzał chatę. Jerry nie chce nic mówić. Widać się boi. Dlaczego Człowiek z Blizną nie przeszukał chaty? Bo nie znał zawartości kufierka? Chciał tylko wyeliminować dziennikarkę tropiącą aferę na wielką skalę? A strzały? Kto strzelał, zanim dopadliśmy chaty? Co to wszystko ma znaczyć? Dopóki nie pogadamy z Susie, niczego sami nie wymyślimy. Jeszcze jest gliniarz! Sierżant King z Królewskiej Konnej! Co ja gadam! Z posterunku w San Bernardino... dużo znaków zapytania. Zbyt dużo...

- Mówisz sam do siebie? - Pete klepnął go po plecach. - Trochę się zmachaliśmy.

- Przecież zabrałem wasze plecaki!

Bob z Caroline opadli na ławkę.

- Życie za puszkę coli! Zrobiłeś rachunek sumienia?

Jupiter rozłożył dłonie.

- Tak jakby. Ale dużo jest niewiadomych. Wracamy do domu. Jutro odstawię Susie chevroleta i wrócę autobusem. Mówię wam... ciągnie jak smok. Bob, daj tę forszę znaną w spodniach sprzed wieków.

- Dlaczego?

- Bo w chevrolecie kończy się benzyna.

- W portfelu Susie masz kupę szmalu!

Jupiter wzruszył ramionami.

- Nie chcę grzebać w jej forsie. No, dawaj!

Pół godziny później sunęli szosą w stronę domu. Jupiter z Bobem w chevrolecie i Caroline z Crenshawem w terenówce. Z obu wozów ulatywały w niebo słowa dziecinnej piosenki: *O my darling, o my darling, o my darling, Clementine!*

Niestety, kłopoty, które ich czekały, nieprędko miały się skończyć.

Jupiter Jones wraz z wujem Tytusem ładowali na dwie ciężarówki meble z wyprzedaży. Za chwilę odjadą do składu i zostaną sprzedane sztuka po sztuce. Wuj był zadowolony z transakcji.

- Chyba wreszcie coś zarobimy - ocierał pot z czoła - ciotka narzeka na brak gotówki.

Jupiter uśmiechnął się.

- A co byś zrobił, wujku, gdybyś dostał czek na sto milionów?

- Dolarów? - zainteresował się wuj.

- Tak. Pięknych, zielonych...

- Za dużo. - Tytus ssał pustą fajkę. - Można by kupić... wyspę?

- Po co?

- Siedzieć sobie na brzegu własnej wyspy i łowić ryby... mówiłem ci, za dużo.

Jedziesz z nami?

Jupiter przecząco pokręcił głową.

- Mam coś do załatwienia w San Bernardino. Problem detektywistyczny. Gdybym się spóźnił, nie denerwujcie się.

- Nie mnie to powiedz, tylko ciotce!

ROZDZIAŁ 6

CO SIĘ STAŁO NA PARKINGU?

Słońce mocno grzało, gdy zaparkował wiśniowego chevroleta przed City Hall. Rozbawiła go nowoczesna bryła ratusza. Gdzieś kiedyś czytał, że projektował go Argentyńczyk. Poklepał kierownicę.

- Chciałbym mieć takie autko - westchnął półgłosem.

Wsiadł, zamykając kluczykiem drzwi. I wtedy to się stało.

- Ani słowa - powiedział ponury typ w płóciennych spodniach i białej koszuli.

- Ale co...

- No już! - Jupiter poczuł pod lewą łopatką dotknięcie śliskiego metalu. - Spokojnie idź do tamtego wozu.

Jupiter zmarszczył brwi. Porwanie? Po co? Faceta nie znam - myślał - czekali na wóz Susie Lynn? Lufa rewolweru popychała go w kierunku białej półciężarówki z wyraźnym napisem: "Piekarnia uniwersytecka". Rozsuwane boczne drzwi drgnęły, kiedy się zbliżył. Zanim wsiadł, kątem oka dostrzegł wóz policyjny. Stał na skrzyżowaniu tuż pod światłami. Podniósł w górę obie dłonie, jakby chcąc dać znak. Ale to tylko pogorszyło sprawę. Kopniak, jaki dostał poniżej pasa, spowodował, że znalazł się we wnętrzu wozu znacznie szybciej, niż to sobie mógł wymarzyć. Pochwyciły go wyciągnięte ręce... piekarza. Tak w każdym razie wyglądał krępy mężczyzna w białej czapie. Więcej niczego Jupe nie dostrzegł. Jego głowa zniknęła w worku z resztkami mąki. Kichnął dwa razy i poczuł, że samochód rusza.

- Gdzie on się podział? - spytał Crenshaw, parkując rower obok Kaczora Donalda.

- Nie wiem! - powiedział ponuro Bob. - Wczoraj pojechał do San Bernardino. Tak mówił wuj Tytus, kiedy go rano pytałem.

- Tyle to i ja wiem. Miał odstawić wóz Susie Lynn. I wrócić autobusem. Taki był plan.

- Ale nie wrócił.

Pete zmarszczył czoło.

- Robi się niebezpiecznie. I jeszcze ten pistolet maszynowy!

- Gdzie go schowaliście? - oczy Boba były okrągłe i wystraszone. - U Caroline?

Pete pokręcił głową.

- Nie! Dziewczyny nie wolno narażać. Już raz przetrząsnęto jej dom. Jest tutaj.

- Gdzie?

- W kanapie.

Bob wypuścił powietrze z płuc.

- Zrobiłeś z kanapy... arsenał?

Crenshaw wzruszył ramionami.

- Jaki arsenał? Raptem jeden pistolet... słuchaj, jeśli Jupe nie wróci... wymienimy go.

- Kogo?

- Rany boskie, Bob, myśl szybciej! Jupitera na MP 5. Z celownikiem hologenowym!

Tego już było Andrewsowi za wiele. Zerwał się z krzesła, dopadł Pete'a i zaczął nim potrząsać. Wyglądało to tak, jakby pchła rzuciła się na dobermana. Ale Crenshaw zniósł atak ze stoickim spokojem.

- Opanuj się, Bob. Myśl jak detektyw.

- Myślę! - zmęczony Andrews opadł na kanapę, zerwał się jak oparzony, by wreszcie usiąść na bezpiecznej podłodze. - Do diabła! Kanapa faszerowana jakąś... rusznicą... oni mogli go porwać!

- Główkuj dalej. - Crenshaw nie bał się kanapy. - Myślisz o Człowieku z Blizną? Skąd miał wiedzieć, że Jupe będzie w San Bernardino?

Bob znów tkwił przy komputerze. Na zielonkawym ekranie pojawił się centralny plan miasta.

- Tu - puknął palcem - tu jest to miejsce, gdzie zawsze parkuje wiśniowy chevrolet znanej dziennikarki. Czekali na samochód. Na nią. Nie wiedzą, że jest w szpitalu. Domyślają się jedynie, że uratowaliśmy Susie. Musieli słyszeć nadlatujący helikopter.

- Brawo, Bob! Dobrze główkujesz. Jedziemy do San Bernardino. Do szpitala. Bo my wiemy, gdzie jest Susie Lynn!

Autobus z Los Angeles wjechał na stanowisko numer 33. Sapnęły pneumatyczne drzwi, wyrzucając na Dworcu Centralnym dwudziestu sześciu pasażerów plus dwóch detektywów.

- Gdzie ten szpital? - zastanawiał się Pete, odprowadzając wzrokiem dwie jasnowłose dziewczyny z plecakami. - Ale nogi!

- Przy Grover Street. Klinika Uniwersytecka.

- Ma chody panienka. Inni muszą leżeć w miejskim szpitalu sióstr Bożego Miłosierdzia.

Dzielnica uniwersytecka rozciągała się w górnej części miasta, skąd roztaczał się

wspaniałą widok. Białe pawilony, rozrzucone wśród drzew i kwitnących krzewów, stwarzały miłą nastrój. Jeden z nich, czteropiętrowy blok z zielonymi żaluzjami, okazał się kliniką.

- My do Susie Lynn - Pete puścił do dziewczyny w recepcji swój najpiękniejszy uśmiech. Zadziałał, jak zawsze. Brunetka z plakietką w klapie zamrugła rzęsami. Miała porcelanową buzię lalki Barbie.

- Nie wolno. Ordynator zabronił.

Bob poprawiał okulary na spoconym nosie.

- Ale to bardzo ważne, my... urwał, wpatrując się w dwóch policjantów schodzących z pierwszego piętra. - Pete, czy ty widzisz to samo, co ja?

Crenshaw oderwał wzrok od utuszowanych rzęs Barbie.

- Sierżant King z Królewskiej Konnej! - wrzasnął na cały głos.

- Czy pan nas pamięta?

Policjant zlustrował surowym wzrokiem obu chłopców.

- No tak... - sapnął. - Już tu są! A z nimi same kłopoty!

Bob podszedł do umundurowanych. Z kieszeni wyjął wizytówkę i duże zdjęcie Jupitera w koszulce zespołu Dodgersów.

- Porwali go! Naprawdę zaginął! To nasz Pierwszy Detektyw!

Sierżant King otarł czoło.

- Wiem - powiedział łagodnie. - Widziałem.

Godzinę później chłopcy pili chińską herbatę w małym barze przy komendzie.

- Musiałem zatrzymać samochód na skrzyżowaniu. Nagle zobaczyłem, jak facet podnosi ręce w górę. Wsiadł z wozu Susie Lynn. Uprowadziła go półciężarówka z uniwersyteckiej piekarni - kończył sierżant.

- I co? Znalazł ją pan?

- Nie. Uniwersytet w San Bernardino nie ma własnej piekarni. Do studenckich stołówek przywożą chleb i bułki z wytwórni Hai-Go.

- Chińczyk? - Bob wyjął notes.

- Nie. Koreańczyk. Hai-Go znaczy: bądź ze mną.

Chłopcy spojrzeli po sobie.

- Musimy zgłosić porwanie Jupitera na posterunku w Rocky Beach. Znamy Mata Wilsona, ale on...

Stan King rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Stary Mat! Rozmawiałem z nim telefonicznie. Nie znałem waszych nazwisk.

Podyktował mi z wizytówki, którą wszędzie zostawiacie.

Bob klepnął się po kieszeni.

- To dobry pomysł! Mój. Reklama jest dźwignią handlu!

- Skojarzyłem wygląd chłopca z imieniem Jupiter. Teraz szuka go kilkunastu gliniarzy. Jego i tej parszywej piekarni.

- Jak znam życie, już ją przemalowali na kwiaciarnię! - mruknął Pete. - Po co im Jupiter? Nie wiedzą, że Susie Lynn żyje? Bzdura! Nie mogli zbytnio oddalić się od chaty.

- Przyjechał jej wozem. To jedyna poszlaka. A nasza dziennikarka zbyt dużo wie. Może sądzą, że Jupiter także?

- A pan co wie? - Bob łypnął znad okularów.

Gliniarz pochylił głowę.

- Mogę się tylko domyślać.

- Susie nic panu nie powiedziała?

Rozłożył ręce. Jego włosy, ostrzyżone przy samej skórze, były gęste i siwe jak mleko.

- Mówiłem wam, tam na parkingu, w górach. Chodzi najprawdopodobniej o wielkie pieniądze. Nie mam pojęcia, gdzie jest Thomas Black. I nie mogę go szukać.

- Dlaczego?

- Bo oficjalnie nikt nie złożył meldunku o zaginięciu. Ani córka, ani wy. Pytałem panią Lynn. Ale też nic nie wie o Blacku. Zajmuje się sprawą szpiegostwa przemysłowego. Pogadajcie z nią. Jest pod opieką doktora Spellmana. I ma całodobową ochronę. Ale dam wam kartkę. Inaczej nikt was nie wpuści.

- Grozi jej niebezpieczeństwo?

- Tak. I to duże. Są ludzie, którzy dla zatarcia śladów starej zbrodni gotowi są na wszystko. Sami to rozumiecie.

- A Jupiter? - Bob pociągnął nosem. Za nic w świecie nie przyznałby się, że strach o przyjaciela zżera mu duszę.

Sierżant King wstał z krzesła.

- Znajdzie się. Już niedługo.

Tyle że Pierwszy Detektyw nic o tym nie wiedział. Zdjęto mu, co prawda, worek po mące, ale skrępowany tkwił w ciasnym pomieszczeniu pachnącym drożdżowym zacierem. Zanim przywykł do mroku, nie mógł się zorientować w swoim położeniu. Po półgodzinie uporczywego kręcenia głową wiedział, że nazwa na samochodzie, którym go tu przywieziono, nie kłamała. Obok działała piekarnia. Na pełnych obrotach. Elektryczne piece

wyrzucały co jakiś czas pachnące kminkiem chleby i bułki. Tu, gdzie siedział przywiązany do krzesła, stały worki z mąką i ogromna lodówka-chłodnia. Marnie widział swoją sytuację. Jedyne okienko wysoko, pod powalą, mogło od biedy przepuścić szczupłego Boba. I tylko jego. Bo już bary Crenshawa by się nie zmieściły.

- Muszę schudnąć - warknął sam do siebie, wciągając nosem zapach maślanych rogalików, które uwielbiał. - Chyba że mnie tu zagłodzą na śmierć.

Rozmyślenia przerwał zgrzyt zasuw. Wszedł człowieczek okrągły jak piłka. Jego głowa też przypominała przedmiot polowań futbolowych. Tylko oczy miał skośne i cerę lekko żółtawą.

- Ty być detektyw? - wysapał.

- Tak - Jupiter starał się zachować godność.

- To źle - miauknął skośnooki. - Ciebie szukać policja.

- A co myślałeś? - Jupiter wydał wargi. Postanowił przyjąć narzuconą, bądź co bądź, formę "tykania". - Że pozostawią mnie na łasce jakichś niewydarzonych piekarzy?

Cudzoziemiec przymknął oczy. Biały fartuch sięgał pięt.

- Może chcesz świeże bułeczki? I kakao?

Jupiter obliznął wargi. Przed chwilą marzył o głodowej śmierci, a teraz przysmaki?

- Chcę - odparł po sekundach zwłoki. - Ale mam skrępowane ręce.

- Rozwiązać żaden problem. Jedna ręka wystarczająca. Ty lewo czy prawoskręt?

- Ja? - Pierwszy Detektyw przełykał ślinę. - Prawo... tego... skręt.

- A problem być gdzie indziej. - Piekarz kręcił młynka tłustymi paluszkami.

- Gdzie?

- W tym, co ty wiedzieć, a my chcieć także.

Jupiter Jones nie cierpiał szantażystów. Ale przecież można dużo powiedzieć, nie mówiąc praktycznie nic. Zresztą tak na dobrą sprawę, niewiele jeszcze wiedział. Od piekarza różnił się jedną cechą: umiał analizować i wyciągać właściwe wnioski. Poza tym miał nieodparte przecucie, że nie grozi mu śmierć w piecu pełnym słodkich ciasteczek. Zapach cynamonu dolatywał zza półotwartych drzwi.

- A co wy wiedzieć? Co wy wiecie? Gdzie jest Thomas Black?

- Kto? - Skośne oczy zabłysły.

- Taki jeden - zbagatelizował Jupiter. I równocześnie zrozumiał, że trzeba postępować ostrożniej. - Udajesz, że nie wiesz, kim jest Black? To o czym mamy mówić?

Biała kulka rozcierała ruchliwe łapki. Na ustach piekarza błąkał się dziwny uśmiezek. Jupiter natychmiast sobie przypomniał stare, chińskie przysłowie, że

“najniebezpieczniejszy jest śmiejący się Azjata”.

- Co wam zdradzić miss Lynn?

- Dziennikarka? No... wymienialiśmy informacje. My coś wiemy i ona coś wie.

Razem... zaraz, gdzie te bułeczki i kakao?

Pulchne łapki klasnęły. To wystarczyło, by zza drzwi wysunęła się taca, a na niej... Jupiter przymknął oczy. I choć skrępowane stopy i dłonie uwierały, to ta woń...

Piekarz sprawnie uwolnił mu prawą rękę.

- Ty móc jeść, ja słuchać. - Jupiter zatopił zęby w cudownie miękkim ciastku z masą orzechową. Mógł tak jeść i jeść... ale oprawca długo nie wytrzymał. Po szóstej babeczce stęknął: - Ja słuchać.

Detektyw czuł się niczym najedzony wąż boa. Teraz trzeba było wysilić intelekt. Kakao się skończyło. W kubku ukazało się dno.

- Dlaczego mnie porwaliście?

Piekarz przymknął wąskie ślepka.

- Przyjechać chevroletem. My czekać Susie Lynn. Ona zniknąć - ty zniknąć. Sprawiedliwie.

- Nie. Susie została napadnięta przez Człowieka z Blizną. Zamknięta w starej chacie koło jeziora Big Bear i podpalona. Możecie sprawdzić. Straż leśna nie zdążyła z pomocą. Chata się spaliła.

Zza drzwi wychyliła się druga postać ubrana też na biało. Była przeciwieństwem grubiotkiego. Chudy jak tyka charakteryzował się potężną naroślą na nosie. Coś zagadał w obcym języku. Piłeczka kiwała głową.

- Ty mówić prawda. Chata spalona. Trup zniknąć.

- Jaki trup?

- Lynn. Nie ma szkieleta. Ani kosteczki.

Jupiter zawahał się.

- Przecież muszą zrobić pogrzeb. Pochować słynną dziennikarkę!

- Cmentarz?

- Naturalnie! Czy wy nie grzebiecie waszych zmarłych?

Okrągłutki westchnął.

- My topić w skarpetki.

- Co?

- Mówić wyraźnie: oblewać stopy betonem i... do morza! Gdzie papiery?

- Jakie?

- W chata być dokumenty.

Jupiter zaczął rozumieć. Chodziło zapewne o nieczytelną umowę i nie podpisany czek na sto milionów. Ale skąd, u Boga Ojca, oni o tym wiedzą? - myślał, czując nieznośny ciężar w żołądku.

- Ja nic nie wiem o dokumentach. Szukaliśmy Thomasa Blacka. Dawniej bywał nad jeziorem Big Bear. Tak twierdzi córka.

- Caroline? Ona głupawa kobieta. W jej domu nic nie być. Przekopać wszystkie szuflada.

- Aha, to wy? Bałagan w azjatyckim stylu! Możesz mnie puścić. Nic więcej nie wiem. Powtarzam: szukamy Thomasa Blacka. Zniknął. A córka się martwi.

Zamieszanie w piekarni wywołało okrągłutkiego. Gdy wrócił, nie miał już uśmiechniętej twarzy.

- Ty nie móc tu zostać. Policja szukać po piekarniach! - odwiązywał gruby sznur dość niezdarnie. Kiedy Jupiter poczuł, że nic go nie łączy z drewnianym oparciem krzesła, wykonał ruch, jakiego nikt by się po tłuscioszku nie spodziewał: wyprężył nagłym rzutem obie nogi i uderzył w plecy swojego oprawcy. Zanim ten się pozbierał, detektyw dał nura do piekarni. Przewrócił kilka tac przygotowanych do wypieku, skręcił pod kątem prostym do drzwi oznakowanych napisem Exit, chwyconą po drodze drewnianą łopatą do wygarniania chlebów... wygarnął trzech pomocników i wypadł na rozslonecznione podwórze. Z dzikim wrzaskiem "policja!" parł niczym walec drogowy wąskim przejściem, aż wypadł na ruchliwą ulicę. Wiedział, że tamci nie zaatakują, gdy znajdzie się w tłumie. Wśród przechodniów był względnie bezpieczny. Im bardziej wrzeszczał: "policjaaa! mordująaa!", tym szybciej uciekał. Ludzie rozstępowali się przestraszeni. Wreszcie białe fartuchy azjatyckich piekarzy zostały w tyle. Jupiter wbiegł do pierwszego lepszego baru.

- Gdzie telefon? - wychrypiał. - Muszę zadzwonić do sierżanta Kinga z policji w San Bernardino!

Ale się nie dodzwonił. Automatyczna sekretarka powtarzała wciąż słowiczym głosikiem: "Policja, proszę czekać. Policja, proszę czekać..."

Barman bez słowa podsunął mu butelkę coli.

- Kłopoty, młody człowieku?

Jupiter pił i pocił się. Pocił się i pił. W końcu wymamrotał:

- Porwali mnie gangsterzy. Ci z piekarni. A teraz chcą utopić w skarpetkach...

Barman przymknął oczy.

- Zawsze porywają tu chłopców. Dodają ich potem do nadzienia bułeczek. Nie

wiedziałeś? Uciekłeś z wariatkowa, koleś?

Jupiter machnął dłonią. Wyrzebał drobne na colę.

- Nieprawda! Do bułeczek dodają durnych barmanów!

Wyszedł na ulicę, ale nie wiedział, gdzie jest. Nie znał miasta. Wlókłby się tak bez końca, gdyby nie funkcjonariusz z radiowozu. Ten, który stanął przy krawężniku, miał za kierownicą rudzielca.

- Hej, ty! Zgubiłeś się?

Jupiter zerknął w głąb zaułka. Nie dostrzegł białych fartuchów.

- Nie całkiem. Możecie mnie skontaktować z sierżantem Stanem Kingiem?

- Jasne! - uśmiechnął się rudzielec, wskazując dłonią na kserokopię fotki wiszącej nad przednią szybą. - Znasz tego faceta?

Jupiter Jones z ulgą dostrzegł swoją własną twarz i koszulkę z numerem głównego napastnika drużyny Dodgersów.

- Szukaliście mnie?

- Tak jakby. A ty co za ważna figura?

- Jestem detektywem z Rocky Beach. Porwali mnie piekarze.

Rudzielec, w odróżnieniu od barmana, nie zrobił żadnej uwagi o ewentualnym samowolnym oddaleniu się ze szpitala dla nerwowo chorych. I dlatego Jupiter z miejsca go polubił.

Narada w Kwaterze Głównej trwała już trzy godziny. Wcześniej Jupiter usiłował wytłumaczyć ciotce Matyldzie swoją całonocną nieobecność.

- Musiałem, ciociu, zająć obserwacyjne stanowisko w pewnej piekarni.

- Mat Wilson dzwonił, że cię porwali!

- Że też jego nie porwą kosmici! - warknął, ssąc wargę. - Brednie, ciociu! Choć... detektywi nie zawsze mogą zdradzić całą prawdę. Nas wynajęła Caroline. Mamy odszukać jej ojca. I tyle.

- Wiemy już, o co chodzi piekarzom. To gang koreański. Ten okrągły ma jakieś powiązania z California Institute of Technology. - Bob klikał myszą. - Pamiętacie? Politechnika w Pasadenie, jej filia w San Bernardino, a także Zakłady Przemysłu Lotniczego.

Pete żuł gumę o smaku pomarańczy.

- Bob, trochę to zagmatwane. To są różne uczelnie.

Jupiter Jones myślał intensywnie. Wreszcie uderzył dłonią w udo.

- Wiem! Pewnie chodzi o uczonego lub grupę uczonych, którzy pracują w obu miejscach. Dla lotnictwa.

- Genialne! - Bob wykazywał niezwykle entuzjizm. - Caroline powiedziała nam przecież, że jej ojciec raz w miesiącu wyjeżdżał do San Bernardino. I zawsze wracał z pieniędzmi.

- Thomas Black był nauczycielem matematyki i chemii - mruczał Jupiter. - Tyle że nie miał dyplomu. I dlatego stracił pracę. Coś w tym jednak musi być. Jeszcze nie wiem co, ale się dowiem.

Bob wyłączył komputer. Dyskietkę schował w tajnym miejscu. Robił tak od czasu, gdy nieznani sprawcy przetrząsnęli dom Caroline. Nade wszystko bał się stracić bazę danych.

- Zadzwoń do sierżanta Kinga, Pete. Czuję, że musimy pogadać od serca z Susie Lynn. Jest nam w końcu winna przysługę. Gdyby nie nasza odwaga, usmażyłaby się w chacie. Na chrupko.

ROZDZIAŁ 7

SPOWIEDŹ DZIENNIKARKI

Susie Lynn leżała w separacie, przed którą dzień i noc dyżurował policjant z komisariatu w San Bernardino. Leżała to dużo powiedziane! Siedziała w fotelu, mając na kolanach laptopa, do którego wstukiwiała kolejny reportaż. Ucieszyła się na widok chłopców.

- Wpuścili was?

Pete mrugnął lewym okiem.

- Jesteśmy detektywami, no nie? Jak się czujesz?

Dziewczyna odstawiła komputer. Nozdrza jej murzyńskiego nosa śmiesznie się rozszerzały.

- Jak kandydatka na mumię, przed balsamowaniem. Nudzę się jak mops! Jestem osobą o niespożytej energii. Nie umiem żyć w klasztorze. Nie wpuścili tu nawet mojego chłopaka. Jak wam się udało wejść?

Jupiter Jones szybko zajął najwygodniejszy fotel.

- Sierżant King ma wobec nas zobowiązania...

- On też? Bo ja nigdy nie zapomnę, że uratowaliście mi życie.

Bob przysiadł na skraj łożka. Kartkował swój bezcenny notes.

- Porwano Jupitera. Ale się uwolnił.

- Kto? - Dziennikarce zabłysły oczy.

- Koreańscy piekarze! - roześmiał się Pete. Zabrzmiało to nieco protekcyjnie.

Susie Lynn zmarszczyła czoło.

- A jednak Koreańczycy! Słuchajcie, sprawa jest zawiła. Skoro ja nie mogę jej teraz rozszyfrować, wy to musicie zrobić.

- Jak? - Andrews zastygł z długopisem w dłoni.

- Przestań, Bob! - Pete chodził tam i z powrotem od drzwi do okna. Zupełnie tak samo postępował w Kwaterze Głównej. - Susie gotowa jest pomyśleć, że sobie nie poradzimy!

- Ona nie ma wątpliwości, że rozwikłamy zagadkę. - Jupiter wzruszył ramionami. - Nie wiemy tylko, co ma wspólnego koreański piekarz z uniwersytetem w San Bernardino i politechniką w Pasadenie.

Susie otworzyła laptop. Bob aż przymknął oczy. Marzył o takim przenośnym komputerku. Ale nie miał żadnych szans. To bardzo drogi sprzęt, a oni, choć detektywi, nie zarabiali na swej pracy ani złamanego szeląga.

- I jeszcze San Diego! - dorzuciła tajemniczo. - Jak myślicie, co łączy te wszystkie przepiękne miejscowości?

Crenshaw rozłożył ręce.

- W San Diego jest baza szóstej amerykańskiej floty wojennej na Pacyfiku.

Jupiter wiercił się w fotelu.

- Myślisz, Susie, że Thomas Black szpiegował dla... Koreańczyków?

Bob kręcił głową.

- Dla piekarzy?

Pete trzepnął się w kolano.

- Odczep się, Bob! Piekarnia to tylko przykrywka dla prawdziwych fachowców. Mogą w chlebie lub bułeczkach przekazywać najtajniejsze informacje!

Susie Lynn wybuchnęła śmiechem.

- Zbyt dużo się naczytałeś powieści Ludluma. Jednak jest możliwe, że piekarnia była przykrywką dla szpiegowskiej bazy.

- Szósta flota napadnie na Koreę? - Bob pukał się w czoło. - Albo odwrotnie?

Crenshaw wyraźnie tracił cierpliwość.

- Odczep się od piekarzy! Oni wcale nie chcą wywołać wojny, tylko zdobyć informacje. Wiem, że w San Diego jest skoncentrowany cały, no, prawie cały przemysł lotniczy. Tam się przecież narodziły rakiety "Atlas".

- Jak to: narodziły? - nie zrozumiał Bob. - Jesteś pewien, że wiesz, co mówisz?

Pete miał ochotę wyskoczyć przez okno.

- Bob, ocknij się i zacznij myśleć. W Zakładach Badawczych San Diego powstał pierwszy projekt rakiety. Może nie pamiętacie, ale w czasie drugiej wojny światowej właśnie tam stworzono największy przemysł lotniczy. Dziś można to wszystko obejrzeć w Aero Space Museum.

- Muzeum aeronautyki i podróży kosmicznych! - przypomniał Jupe. - Zwiedzaliśmy je w szkolnych czasach.

- Musiałem wtedy mieć świnkę - poskarżył się Bob. - Sprawdzę te dane po powrocie do Kwatery Głównej.

Susie Lynn milczała przez chwilę. Później westchnęła i otworzyła laptop.

- Pomogę wam. - Włożyła okulary. - Widzicie? Point Loma - przylądek osłaniający Zatokę San Diego od oceanu. Zajęty jest w większej części przez tereny wojskowe...

Bob przypadł do ekranu. Mniejszy od tego, którego używał na co dzień, łatwo powiększał wybrany z mapy obszar.

- Wraz z rozwojem konstrukcji rakiet wojskowych - czytał wolno - i rozbudową programu lotów kosmicznych powstała nowa gałąź produkcji. Budowę samolotów odrzutowych przeniesiono częściowo na pustynię... - Ludzie, to mi się źle kojarzy! - jęknął. - Jakieś szpiegostwo przemysłowe?

Susie skinęła głową.

- Od lat pięćdziesiątych szpiegują Rosjanie, Chińczycy i Koreańczycy. Macie przy sobie zdjęcie trzech facetów przed chatą nad jeziorem Big Bear?

Jupiter Jones skinął głową.

- Nigdy się z nim nie rozstajemy. Inne zniknęły w tajemniczych okolicznościach. Rozszyfrowaliśmy dwóch z nich: Thomasa Blacka i Jerry'ego Huntera.

- Wiem. - Dziennikarka wpatrywała się w brodatą twarz. - Chyba wam już mówiłam? To Edgar Morrison.

- Wspominałaś. - Pete nachylił się nad jej głową. - Nie mówiłaś, że go znasz.

- Bo nie znam. Osobiście nigdy się z nim nie spotkałam. Ale tę twarz znają wszyscy, którzy mieli lub mają coś wspólnego z raketami kosmicznymi.

- Jest kosmonautą? - ucieszył się Bob.

Susie gorączkowo obracała zdjęcie.

- Nie kosmonautą, lecz chemikiem. Pracuje, a raczej pracował w Zakładach Sprzętu Lotniczego w San Bernardino. To on wynalazł skład chemiczny materiałów na powłokę do rakiety "Atlas". O wynalazku było głośno przed dwudziestoma dwoma laty.

Jupiter Jones czuł, jak mu serce bije. Coraz szybciej.

- Mówiłaś, że pracował. Czy już nie pracuje? Dlaczego?

Susie ostrożnie położyła zdjęcie na blacie stolika.

- Bo... zniknął!

Pete zatrzymał się w miejscu.

- Zniknął? Jak Thomas Black?

- Który też... był chemikiem! - dorzucił Jupiter cichutko.

Za oknami kliniki gasły promienie zachodzącego słońca. W pokoju zrobiło się jakby ciemniej.

- To właśnie musicie wykryć - powiedziała Susie. - Byłam na tropie afery. Szukałam jej korzeni w chacie przy jeziorze. Może niepotrzebnie napisałam, że tam jadę. Dlatego mnie napadli. Resztę już znacie. Są w to zamieszani Koreańczycy, ludzie z San Bernardino i najprawdopodobniej ktoś z tutejszego uniwersytetu. Możliwe, że także z Zakładów Lotniczych.

Jupiter brał wiatr w żagle.

- Trzeba sprawdzić, co ich łączyło: Thomasa Blacka i Edgara Morrisona. A potem już pójdzie jak z płatka! Cóż, tak się zawsze wydaje optymistom.

Tym razem przygotowywali się bardzo starannie. Przez dwa długie dni wymyślali i odrzucali kolejne "genialne" plany.

- Musimy się dostać do Zakładów Sprzętu Lotniczego w San Bernardino jako ekipa... hydraulików! - entuzjasmował się Bob.

- Których nikt nie wzywał! - studził jego zapał Jupiter, połykając trzecią kanapkę z rybą. Dawno porzucił głupią myśl o odchudzaniu.

- Moglibyśmy wcześniej coś zepsuć - podsunął Pete.

- Na przykład przepłynąć rurami z gorącą wodą! - szydził Jupe. - Ludzie, co z wami?

Pomoc przyszła z zupełnie nieoczekiwanej strony.

- Studio filmowe "Universal", w którym, jak wiecie, pracuje mój ojciec - Pete ledwie zipał po szybkim biegu - pomaga w organizowaniu Letniego Festiwalu Lotniczego w San Bernardino!

Bob nadstawił uszu.

- I co dalej?

- Dalej - ciągnął Crenshaw - potrzeba mnóstwa wolontariuszy do różnych prac. Burmistrz daje pieniądze, ale tylko na wypożyczenie sprzętu. Do scenografii dokłada się Universal Film Studio. Oddadzą część starych dekoracji ze *Star Treka*. W tym model statku kosmicznego.

Jupiter Jones czuł, jak mu rosą skrzydła. Jeszcze chwila, a postrąca nimi wiszące pod sufitem stare koła rowerowe. I klatkę ze sztuczną papugą.

- Bomba! - westchnął, przełykając okruszki. - Naturalnie zgłosiłeś nas do pracy?

- Oczywiście! Tato obiecał, że pozwoli nam wtykać nos wszędzie tam, gdzie zechcemy. Z grafiku rady miejskiej wynika, że wypożyczą również atrapę rakiety "Atlas". I współpracują blisko z Zakładami Przemysłu Lotniczego.

- Mamy cholerne szczęście! - skwitował Jupiter. - Kiedy to się zaczyna?

- Festiwal za dwa tygodnie. Ale budowa dekoracji, makiet już za dwa dni!

Bob pocierał nos, aż stał się czerwoną truskawką.

- Zabierzemy Caroline?

Pete szczerze się ucieszył.

- Naturalnie! Powinna być z nami, gdy odnajdziemy jej ojca!

Jupiter wydał usta.

- No... nie wiem. Baba z wozu, koniom łzej. Ale jeśli będzie chciała...

- Nie mogę się zwolnić z baru. - Dziewczyna otarła łzę. - Mój szef mnie wyrzuci. Tu trzeba ciężko pracować. Sami wiecie, że bez pieniędzy nie dam sobie rady. Ale przyjadę na pewno, kiedy coś odkryjecie. Albo kiedy znajdziecie tatę...

Jupiter Jones kiwnął głową.

- Masz rację. Będziemy w kontakcie. Czy nikt już nie nachodził cię w domu?

Spojrzała przez łzy.

- Nie. Ale wieczorami czuję się nieswojo.

- Może... mógłbym nocować u ciebie? - Crenshawowi błysnęły oczy.

- Nic z tego! - Jupiter był wściekły. - Będziesz nocował w baraku w San Bernardino! Wszyscy tam będziemy!

Od kilku dni Redwood City zamieniało się w... kosmodrom. Dekoracje z filmu, choć wymagały gruntownego odświeżenia i przemalowania, spowodowały, że do centrum San Bernardino pielgrzymowały wycieczki ze wszystkich okolicznych szkół i koledżów. Bałagan panował straszliwy, ale dla ludzi z filmu nie było w tym nic niezwykłego. Przewodził im niejaki Gilman. Bez imienia, za to z rudym warkoczem. Wyglądało to tym śmieszniej, im bardziej gładził opaloną na brąz... łysinę przechodzącą łagodnie w marchewkowy ogonek nad karkiem. Gilman był nie tylko pierwszorzędnym fachowcem, ale także historykiem wojskowości. O samolotach, helikopterach i raketach wiedział wszystko. I dlatego pokochał go Pete.

- Ja biorę na siebie Gilmana - powiedział, gdy już na dobre zainstalowali się w pustym biurze po fabrykantach oliwek - Jupe sprawdza ludzi z Instytutu, Bob dokumentuje wszystko, czego się dowiemy. Codzienny kontakt pod żółtym parasolem koło balonu, punktualnie o dwunastej.

Jupiter skinął głową. Bob sceptycznie spoglądał na kupkę materacy i śpiworów.

- Słaba ta baza.

- Nie narzekaj, stary. Już zapomniałeś, jak sypialiśmy bez koców wczesną wiosną na Mount Rubidoux pod Wieżą Pokoju na szczycie?

Bob wstrząsnął się na samo wspomnienie wycieczki.

- Leczyłem katar przez dwa tygodnie! - westchnął. - Dobra, ja tu rządzę. W bazie.

Potraktujmy ją niczym tymczasową Kwaterę Główną. Dobrze, że twój tato, Pete, jest z nami. Mama nigdy by mnie nie puściła samego.

Crenshaw wyszczerzył zęby.

- Tato w niczym nam nie przeszkodzi. Ma na głowie cały ten chłam. Otwarcie festiwalu z wszystkimi notablami to zadanie nie w kij dmuchał. Aha, widziałem się ze Stanem Kingiem. On coś wie o Blacku.

- Co?

- Kręci. Gdy się pytałem, czemu nie szukają go wszystkimi policyjnymi siłami, coś mrucał, że to nie sprawa dla policji.

- FBI? - zainteresował się Bob. - To znaczy, że sprawa może także dotyczyć cudzoziemców. Na przykład Koreańczyków. Przetrzęsnieli chociaż tę piekarnię, w której więziono Jupitera?

- Zapomniałem wam powiedzieć. Tam nie ma żadnej piekarni!

- Tylko co?

- Salon strzyżenia psów rasowych!

Jupiter spojrział z niedowierzaniem.

- Zlikwidowali wszystkie elektryczne piece? Żeby ich nie wkopał?

- Zrobili to, Jupe. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin zmienili całkowicie wystrój pomieszczeń. Widzisz, jacy są sprawni. I jak bardzo zależy im na pozostaniu w cieniu!

Jupiter Jones ustawiał wraz z trzema robotnikami wewnątrz Star Treka, kiedy nagle wśród tłumu przewalających się ludzi dostrzegł okrągłą postać mrugającą skośnymi oczkami.

- To on! - powiedział półgłosem. - Piekarz!

Crenshaw pracował parę kroków dalej. Smarował deski specjalnym klejem, do którego przykleić można było nawet słonia. Jupiter poszeptał mu coś do ucha. Pete roześmiał się ubawiony.

- Tak myślisz?

- A jak inaczej wyciągnę z niego wyznanie?

- To zamach na prawa człowieka. Może cię zaskarżyć do Helsinek!

- Za co? Przecież to tylko... wypadek przy pracy!

Pete skinął głową. Rozejrzał się po placu.

- Tam! - ręką wskazał powstający pawilon, nad którym górowała olbrzymia czasza balonu. - W herbaciarni. Póki nikogo nie ma!

Grubiotki wyraźnie kogoś szukał. I spotkał, zanim Jupiter Jones mógł go dopaść. Osobnik, z którym Koreańczyk wdał się w rozmowę, miał na sobie kombinezon z napisem na plecach: California Institute of Technology, i był kierowcą białej ciężarówki z Pasadeny. Jupiter niepostrzeżenie podpełzł do rozmawiających.

- Ty być nierozsądny, Henry, tu spotykać!

Mężczyzna nazwany Henrym wzruszył ramionami.

- Najłatwiej ukryć się w tłoku, panie Vong. W stogu siana nikt nie szuka szpilki. Co z pieniędzmi?

- Będą, Henry.

Silne ramiona człowieka w kombinezonie uniosły grubiotkiego z dziesięć centymetrów nad ziemię. Jego krótkie nóżki wykonywały zabawne, nieskoordynowane ruchy.

- Gdzie forsa, panie Vong? No?

- Jutro - skośne oczy rzucały zimne błyski. - Wy go potrzymać jeszcze kilka dni. Tamten wciąż nieprzytomny?

- Wciąż. Lekarze nie dają nadziei. Mówiłem, panie Vong, że Black nie ustąpi. Oszukano go dwadzieścia parę lat temu. Już nikomu nie wierzy. Czekam do jutra, panie Vong. Jeśli do dwunastej w południe nie dostarczy pan obiecanych stu tysięcy, straci pan więcej! A pańscy mocodawcy nawet sto milionów!

Kierowca delikatnie postawił grubego na ziemi. I zniknął tak szybko, jak się pojawił. Jupe nie czekał. Wyszedł naprzeciw swego niedawnego oprawcy.

- Witam, panie Vong - ukłonił się nisko. - Pamięta pan bułeczki i kakao? Podobno teraz strzyże pan rasowe psy?

- Co? Kto? - Koreańczyk wyglądał na całkowicie zaskoczonego.

- To ja. Detektyw Jupiter Jones. A teraz pójdzie pan za mną...

Grubiotki poruszył się, ale Jupiter go uprzedził.

- Spokojnie, tam na zewnątrz stoi sierżant Stan King z posterunku policji w tym mieście. Jeden pański ruch, panie Vong, i... areszt szeroko otworzy swoje kraty. I wątpię, czy podadzą kakao z bułeczkami orzechowymi.

- Co chcieć?

- Pójdzie pan ze mną do pawilonu-herbaciarni. Pod kopułę prawdziwego balonu. No, jak?

- Po co?

- Chcę porozmawiać. Jak wtedy, kiedy pan kazał mnie porwać. Też pan chciał przecież tylko porozmawiać, prawda?

Vong niespokojnie rozglądał się dookoła. Wyraźnie chciał dać dyla w gęsty tłum. Ale napatoczył się Crenshaw - senior. Najpierw obrzucił Jupitera niespokojnym spojrzeniem, zająknął się z lekka, ale natychmiast się zreflektował:

- Wszystko w porządku, detektywie?

Jupiter mrugnął lewym okiem.

- To nasz szczerzy przyjaciel, pan Vong, inspektorze. Idziemy sobie na herbatkę.

Tato Crenshaw zdusił prychnięcie. Inspektorem jeszcze nigdy nie był.

- Zjrzę do was. Witam... panie Vong. Mogę odprowadzić?

Crenshaw starszy nie należał do ułomków. Prawie dwa metry wzrostu i silne bary pod przyciasną koszulką. Syn, Pete, odziedziczył po nim posturę. I zamiłowanie do sportu.

Okrągłutki oklapł. Wiedział już, że nie ucieknie. W prowizorycznym pawilonie zamontowano na razie tylko ażurową obudowę. Balon z koszem miał być atrakcją dla dzieci. Wrzucone liczne kolorowe piłeczki lśniły dziwnym blaskiem. Pete z pustym wiaderkiem osłupiał na widok wchodzących.

Jupiter uprzedził sytuację.

- Dziękuję, inspektorze Crenshaw, damy sobie radę.

Pete rozciągnął usta w uśmiechu.

- Będzie nam naprawdę miło, jeśli nas pan odwiedzi no... za jakiś czas.

Koreańczyk, lekko popychany przez Jupitera, zbliżył się do kosza.

- Zechce pan wejść do środka, panie Vong? - grzecznie zaprosił Jupe.

- Nie. Nie chcę!

Pete bardzo delikatnie użył siły. I pan Vong zanurkował wśród kolorowych piłeczek. Gdy się wynurzył, obaj chłopcy o mały włos nie ryknęli śmiechem. Wylany do kosza klej spowodował, że grubiutki wyglądał niczym cyrkowy błazen oblepiony od stóp do głowy plastikowymi balonikami.

- A teraz - zaczął ponuro Jupiter - proszę nam powiedzieć, gdzie ukryliście Thomasa Blacka. I kto jest nieprzytomny...

- Nieprzytomny? - Vong usiłował się poruszyć, ale klej zaczął pomału tężeć. - Co to... ja...

- Nie ruszy się pan z tego kosza. Za dziesięć minut pan i piłeczki będziecie jedną masą. Albo pan powie, gdzie jest Thomas Black, albo uleci pan pod niebiosa w tym balonie. Widzi pan? Tu jest zbiornik z płynnym helem. Wystarczy podpalić. Taki lot to wspaniałe przeżycie. A klej nie puści!

Do Koreańczyka pomału zaczęło docierać, w jak trudnym znalazł się położeniu.

- Nie móc. Moi mocodawcy być ludzie bezwzględni. Ukręcić głowa.

- No cóż, skoro woli pan lot do Korei tym balonem...

Grubas szarpał się bezskutecznie. Klej spoił piłeczki, które przywarły do brzegów kosza.

- Co chceć wiedzieć? Tu być sprawa sto milionów!

Pete wzruszył ramionami.

- I co z tego? To tylko pieniądze!

Jupiter ssał wargę.

- A może czek wystawiono już dawno? Na przykład dwadzieścia parę lat temu? Tylko nie ma go kto podpisać.

Oczy Vonga rozszerzyły się.

- Kto wystawić czek? A kontrakt?

Pete zerknął na Jupitera.

- Wiemy dużo. Ale nie wszystko.

- Ja też nie wiedzieć wszystko! - Piłeczki skrzypiały przy każdym ruchu grubasa. - Ja mały płotek!

- Co on mówi? - wybąkał Pete.

- Że jest tylko malutką płotką. To gdzie żerują rekiny, panie Vong?

Skośne oczka łypały.

- W laboratorium. Zakład Sprzętu Lotniczy.

- A gdzie jest laboratorium?

Grubas głośno oddychał. Klej tężał niebezpiecznie.

- Panie Vong! Za chwilę ta substancja zespoli pana z koszem na wieki wieków.

- Amen - dorzucił Pete.

Koreańczyk zagadał coś w swoim języku. Chłopcy czuli, że nie wyrażał się o nich w samych superlatywach.

- Laboratorium być w blok sześć.

- Tam trzymają Thomasa Blacka? - Jupe był nieustępliwy.

Koreańczyk przecząco pokręcił głową.

- Nie wiedzieć, gdzie trzymają.

- A Henry wie? - Jupe lekko odkręcał zawór gazu. Vong był u kresu wytrzymałości.

Zdał sobie sprawę, że nikt nie przyjdzie mu z pomocą.

- Nie. Henry też płotek. W laboratorium czekać na tajna formuła. Inaczej nie zrobić powłoka do "Atlasa". My chceć odkupić formuła. Ona być zakodowana od dwu... - zająknął

się.

- Od dwudziestu lat? - domyślił się Pete.

- Przecież powłokę już dawno wynaleziono! - wzruszył ramionami Jupe. - Wszystkie dotąd zbudowane rakiety są nią pokryte! To jakaś bzdura.

Vong chrząknął piłeczkami. Jego czoło pokryły krople potu.

- Wy mnie wypuścić!

- Oczywiście. Proszę tylko powiedzieć, o co chodzi z tą powłoką.

- Nie zdradzić, że to ja! Mocodawca poderżnąć gardło!

Pete wstrząsnął się ze zgrozy.

- Nikomu nie zdradzimy. To leży także w naszym interesie. No? Klej za trzy minuty zmieni się w beton!

- Pan to zna: utopić w skarpetkach? - Jupiter był bezwzględny.

- Mówić, ale wy mnie tu nie zostawić? Nie wysłać balonem w diabeł?

- Nie. Odkleimy pana specjalną pianą - Pete wskazał gaśnicę.

- Wszystko być dawno, dawno. Dwa mężczyźni zawrzeć układ. Jeden być mądry wynalazca, drugi głupi, ale mieć dyplom. Mądry sprzedać swój wynalazek za sto milionów.

- Thomas Black i Edgar Morrison! - Jupiter Jones klasnął w dłonie.

- Tak. Ale Morrison być sprytny. Podpisać kontrakt, a czek nie podpisać. Skład chemiczny powłoki zgłosić jako własny. Potem Black się upominać przez długo, długo...

- A Morrison udawał, że zapomniał!

- Płacić grosze. Raz na miesiąc. Ale sto milion dostać od NASA. Pieniądze i sława.

Pete słuchał z uwagą. Wciąż miał wątpliwości.

- I co się stało? Po co porwaliście Blacka po dwudziestu paru latach?

Vong z trudem poruszał szyją.

- Wy mnie skleić na zawsze!

- Pan też mnie porwał i zesnurował niczym świąteczny baleron, no nie? Gdybym nie zwiął, moglibyście mnie upiec razem z bułeczkami. A każdy z goniących piekarzy wymachiwał bronią!

Vong przymknął powieki.

- Morrison dostać udar mózgu. Być nieprzytomny. Formuła w sejfie zakodowana.

Tylko Black...

Paru chłopców ze szkoły zajrzało do wnętrza. Na widok kosza z piłeczkami wyraźnie się ożywili. Pete zareagował.

- Hej, dzieciaki! Jeszcze nie wolno. Trwa próba generalna z balonem. Wynocha! -

Gdy odeszli, wziął specjalną gaśnicę. - No, panie Vong. Proszę zamknąć oczy!

Ostry strumień wypełnił przestrzeń między piłeczkami. Stały się śliskie i ruchliwe. Koreańczyk za to wyglądał jak śnieżny bałwan. Na szczęście piana nie była toksyczna. Wygrzebywał się niezgrabnie, prychając i plując.

- A teraz niech pan zmiata, panie Vong! - krzyknął Jupiter. - Bo policja jest wszędzie.

Grubiotki wyprysnął, zostawiając po drodze świeże placki gęstej piany. Zmykał tak szybko, jak mu na to pozwalały krótkie nóżki. Wkrótce ślad po nim zniknął.

Pete pochylił się nad koszem.

- Chyba nie zniszczyliśmy balonu? Musimy to posprzątać, Jupe. A może... dzieciaki! Chcecie nam tu pomóc?

Na szczęście chciały.

- I co? - pytał Andrews, kiedy już skończyli opowieść i gęstą zupę z krewetek dostarczoną wprost z kotła przez organizatorów. - Sądzą, że będą skruszać torturami Thomasa Blacka? Żeby im ponownie napisał formułę zakodowaną i zamkniętą w sejfie przez nieprzytomnego Morrisona?

- Tak sądzą. No... może obejdzie się bez tortur? - Pete rozciągał mięśnie ramion. - Black byłby głupi, gdyby się zgodził. Raz na zawsze straciłby pieniądze.

- Ale NASA nie zapłaci po raz drugi! Chyba że... cholerna pułapka za sto milionów! - pokręcił głową Jupiter.

Po południu, gdy detektywi skończyli już pracę przy montowaniu makiety, do wnętrza Star Treka wkroczył papa Crenshaw.

- Wszystko w porządku? - spytał podejrzliwie.

Skinęli głowami.

- Już pana zwalniamy z funkcji inspektora policji - uśmiechnął się przymilnie Jupiter.

- Bogu dzięki. Bo wcale mi się to nie podobało. O co tu chodzi, chłopcy?

- O sto milionów, tato - westchnął Pete. - Dla człowieka, któremu się one należą.

- Bo inny facet zachachmęcił mu tę forszę - wytłumaczył Bob.

Crenshaw senior przyjrzał im się uważnie.

- Macie się nie narażać. Od tego jest policja. Chłopcy spojrzeli z niedowierzaniem.

- I pan w to wierzy?

Papa Crenshaw nie miał łatwego zadania.

- W porządku - wykrztusił wreszcie. - Ale umówmy się na jakieś hasło, gdybyście

wpadli w tarapaty. Jestem zawsze pod telefonem.

Jupiterowi zabłyśły oczy.

- Hasło: Caroline. Gra?

- Gra.

Następne pół godziny detektywi poświęcili na ułożenie szczegółowego planu.

- Ja i Pete pójdziemy do szpitala, do Susie - powiedział Jupiter, chrupiąc chipsy z serem. - Bob zorientuje się, jak się dostać do pawilonu numer sześć w Zakładach Sprzętu Lotniczego. Zrobi szkic terenowy. Ewentualne posterunki, zapory, system alarmowy widoczny z zewnątrz.

- Fajnie! - ucieszył się Bob. - No, to lecę.

- A my do Susie. Trzeba złożyć sprawozdanie.

Zanim Pete z Jupiterem dostali się na drugie piętro, niespodziewanie wpadli w sam środek strasznego zamieszania. Po szpitalu biegali lekarze, pielęgniarki, awanturowali się podejrzani cywile w garniturach i ciemnych okularach.

- Co się dzieje? - Pete uczeplił się blondynki z zadartym nosem, urzędującej w dyżurce.

- Co? Ja nie...

Pete uśmiechnął się czarująco. Jego rozmarzone spojrzenie przesunęło się po zgrabnej figurce dziewczyny.

- Może... pójdziemy na kawę?

Zaczerwieniła się po korzonki włosów.

- Nie... nie mogę. Coś się stało w sali intensywnej terapii, gdzie leży pan Morrison. Jest od jakiegoś czasu w śpiączce i...

Jupiter Jones zastrzygł uszami.

- Morrison tu leży? Ten geniusz chemiczny z Zakładów Sprzętu Lotniczego?

Dziewczyna wciąż wpatrywała się w Crenshawa. Cóż, miał na sobie śnieżnobiałe spodnie i elegancką bawełnianą koszulkę ze znaczkiem Klubu Biznesowego.

- Tak. To on. Źle z nim. Nastąpiła nagła zapaść.

- Może umrzeć? - Jupiter był nieustępliwy.

Ale dziewczyna musiała zająć się pilnie swoimi sprawami. Nawet czułe słówka Crenshawa na nic się nie przydały. Zamieszanie sięgało szczytu.

- Jedziemy na drugie piętro do Susie. Może ona ma lepsze informacje.

Już za załomem korytarza zobaczyli puste krzesło.

- Nie ma policjanta przed jej drzwiami! - krzyknął Pete, puszczając się pędem. Zza szklanej szyby dostrzegł, w środku, wysoką sylwetkę lekarza w białym kitlu. - Jest doktor.

Jupiter przygalopował, jak mógł najszybciej. Też zajrzał, i od razu zrozumiał.

- Pete, to nie jest lekarz! To Henry! Ten, z którym spotkał się Vong!

Wpadli do separatu w ostatnim niemal momencie. Człowiek w białym kitlu dusił Susie Lynn poduszką. Złapany przez Cresnshawa, chciał się wyswobodzić z chwytu zwanego "nelsonem", ale nie potrafił. Jupiter bez chwili namysłu nacisnął guzik alarmowy. Zaraz wpadli lekarze, pielęgniarka i... policjant!

- Co się stało?

- Ten facet próbował ją udusić poduszką! - wrzasnął Pete, trzymając w uścisku wrywającego się opryszka. - Niech pan pomoże, bo ucieknij!

Policjant wreszcie zareagował, robiąc na dodatek użytek z kajdanków.

- Kim wy jesteście? - spytał lekarz, kiedy już Susie zaczęła normalnie oddychać.

- Jesteśmy detektywami. Ta pani jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, bo za dużo wie o pewnej szajce. A policjant, zamiast jej pilnować, gdzieś łązi...

- O, za pozwoleniem - odezwał się posterunkowy. - Lekarz... no, ten pan powiedział, że jest do mnie pilny telefon od sierżanta Kinga.

- I dalsze się nabrać, posterunkowy! - skrzywił się prawdziwy lekarz, badając puls dziennikarki. - Gdyby nie ci chłopcy...

Susie, jeszcze wciąż w szoku, wskazała detektywom krzeselka.

- Drugi raz... uratowaliście mi... życie - machnęła ręką - niech tu zostaną...

Kiedy wszyscy się wynieśli, Jupiter zajął jedyny fotel.

- Morrison jest umierający - relacjonował półgłosem. - Leży tu, w klinice na intensywnej terapii. A co do reszty... - streścił dziewczynie opowieść Vonga - wygląda na to, że trzymają Thomasa Blacka jako zakładnika. Gdyby Morrison nie odzyskał pamięci, jego sejf pozostanie niedostępny.

- Każdy sejf można otworzyć - szepnęła, bo wciąż bolało ją gardło. - Choćby trzeba było się włamać!

- I co z tego? - Pete wzruszył ramionami. - Morrison był chytry. Zakodował formułę. Sama widzisz, że bez Blacka są w kropce. Gang koreański nie ma już czasu. Wiedzą, że policja i FBI deptają im po piętach. Chcą formuły, nie kodu kreskowego!

- Bob penetruje teraz okolice Zakładów. Chodzi o znalezienie bloku szóstego.

- Złapią go. Teren jest strzeżony.

Jupiter ssał wargę.

- Jest dostatecznie sprytny. I wygląda tak... niewinnie! W okularkach... co mogliśmy innego zrobić? Vong też nie wiedział, gdzie jest Black.

Szeroki, płaski nos Susie Lynn drgał w rytmie wypuszczanego powietrza. Widać było, że gorączkowo myśli.

- Za tym wszystkim ktoś stoi.

- Wiemy! Koreańska mafia.

Pokręciła głową w czarnych, spiralnych dreadach.

- Nie. Oni są tylko zainteresowani przejęciem formuły. Chcą komuś zapłacić. Już nie Morrisonowi. Bo on jest nieosiągalny. Co z dokumentacją znaną przez was w chacie? Mieliście ją dać do zbadania. Chodzi o umowę....

Pete rozłożył ręce.

- Bob zawiózł papier do Los Angeles. Do słynnego instytutu, gdzie przywracają nieczytelne lub zawilgocone dokumenty do pierwotnego wyglądu. Ale tam mają urwanie głowy, bo przyleciały egipskie hieroglify na papirusie. Świeżo odkryte w którymś z grobowców. No, i...

- Mają pierwszeństwo - mruknęła Murzynka. - Gdybym mogła dać im cynk, że to sprawa wagi państwowej...

- Susie, nie możesz. Zabraliśmy te papiery nielegalnie. Nie powiadomiliśmy policji w San Bernardino. Sierżant King z Królewskiej Konnej dałby nam popalić... - martwił się Pete.

- Bzdura! Sam jest jakoś w ten bałagan zamieszany. Więcej wie, niż chce powiedzieć. Przejrzałam go.

- Ale dlaczego? - zastanawiał się Jupe. - Dlaczego?

Susie zaczęła się ubierać.

- Muszę się stąd wydostać. Za wszelką cenę.

- Nie! - Pete chciał ją powstrzymać. - Jesteś w niebezpieczeństwie!

- Prawda! Ale tutaj też mi grozi uduszenie poduszką! Pomożecie mi?

- Susie, nie wiesz, gdzie czają się agenci Koreańczyków - Ani kim są.

- NUSI - DA - powiedziała ponuro.

- Co? Co to jest: Nusi - Da?

- Mafia. W Japonii nazywa się Jacuzi, w Chinach - Triada. Nusi - Da to mafia koreańska. Ale i tak muszę się stąd wydostać. Sami widzieliście, jak łatwo głupi glina dał się zrobić w konia! Kto mi zaręczy, że następny stróż prawa nie będzie podstawiony?

- NUSI - DA - mruczał Jupiter. - To ma sens. Pete, zdobądź lekarski kitel dla Susie. I czepek. Albo jeszcze lepiej maseczkę chirurga. Uwidź którąś z pielęgniarek, obiecaj jej... nie

wiem co?

- Małżeństwo! - roześmiała się dziewczyna. - Albo kolację przy świecach w najdroższym lokalu San Bernardino. A będzie to hotel Salt Lake!

- Stać by mnie tam było jedynie na... świece! - roześmiał się Crenshaw. - Dobra, zobaczę, co da się zrobić.

- A ty, Jupiterze - dziewczyna wskazała na torbę - zapakuj do niej mój laptop i to wszystko, co się zmieści. Do dzieła!

ROZDZIAŁ 8

CO SIĘ DZIAŁO W OKOLICACH BLOKU NUMER SZEŚĆ

Bob Andrews kulił się tuż przy ścianie. Dotąd udało mu się jedynie sforsować bramę zakładów. A i to okazało się nie lada wyczynem. Wpełzł za pilnie strzeżone ogrodzenie razem z furgonetką California Institute of Technology, ubrany w szary kombinezon należący niegdyś do Człowieka z Blizną. Teraz, choć nogawki były o wiele za długie, Bob mógł bez problemu przedostać się do wnętrza silnie strzeżonych Zakładów Sprzętu Lotniczego. Dostawa, która tu przyjechała, wypełniała całą przyczepę. I pochodziła ze znanego strażnikom supermarketu "Jay and Jay". Andrews wcale nie interesowały pudła oklejone żółtą taśmą. Zawierały chemikalia lub środki czystości. Jego interesowało jedynie położenie pawilonu numer sześć.

- Gdzie on jest? - mówił do siebie półgłosem, bo to dodawało mu odwagi. - I jak daleko sięgają możliwości szarego kombinezonu?

Pawilony zakładów rozrzucone były w architektonicznym nieładzie po sporym, lekko pagórkowatym terenie. Na szczęście nie wycięto wszystkich drzew. Stanowiły niezłą osłonę i choć Bob nie przepadał za wspinaniem się po szorstkiej korze kalifornijskich czerwonych dębów, to dziecięca namiętność na coś się w końcu przydała. Zresztą rosły tu także jodły o miękkich w dotyku gałązkach. Zza błękitnawych igieł obserwował część terenu. Pawilon piąty miał na wprost. Czwarty z lewej. Co było po prawej? Tego nie wiedział. Nagle zauważył człowieka z torbą-lodówką przewieszoną przez ramię. Ha! - pomyślał. - Kogoś karmią! Mały, krępy jegomość zniknął po prawej stronie. Tam też rosła jodła. Nie tak wysoka, za to z gałęziami sięgającymi wystrzyżonego trawnika. Bob nie namyślał się ani chwili. Korzystając z chwilowej nieobecności pętających się wciąż w polu widzenia urzędników, przekradł się na nowe miejsce. Wśród gałęzi był całkowicie bezpieczny. Podniósł małą lornetkę do oczu.

- Bingo! - szepnął. Na niskim pawilonie z szarego kamienia widniała namalowana wielka czarna szóstka. Po niedługim czasie człowiek z torbą-lodówką wychynął zza żelaznych drzwi, i zniknął za załomem. Małe okratowane okienka, na wysokości parteru, znajdowały się tylko z jednej strony budynku. Niestety, tej odsłoniętej. Ani krzaczka! Bob miał mało czasu do namysłu. Przeskoczył trawnik, wąską asfaltową jezdnię i chodnik z poukładanych cementowych płytek. Zajrzał przez okienko. Nic. Ciemność. Dopiero przy czwartym oknie jego oczy zdążyły rozróżnić kontury: jakieś skrzynie, długie, obłe, malowane

na szaro kształty przypominające bomby lotnicze. Czerwone rurociągi wiodące w głąb. Pewnie do piwnic.

- Co tu robisz? - usłyszał nagle surowy głos.

Bob odskoczył przerażony. Za nim stał facet w okularach, trzymający czarną teczkę. Wyglądał na magistrackiego urzędnika.

- Ja? - Myśli gorączkowo galopowały mu przez mózg. - Jestem dostawcą.

- Nie pytam, kim jesteś, tylko co tu robisz?

- Zaglądam - powiedział Bob czując, jak mu miękną nogi. - Z natury jestem ciekawski. Robicie tu coś nielegalnego?

- Nielegalnego? - wybąkał mężczyzna, rozglądając się dookoła. - Dlaczego?

Zza rogu rozległy się czyjeś kroki. Mężczyzna z teczką zrobił coś, co zdumiało Boba: przejechał kartą magnetyczną przez komputer zamka, pchnął drzwi i pociągnął za sobą chłopca.

Bob wrzasnął.

- Cicho! - syknął nieznajomy. - Bo obaj zginiemy!

- No wie pan! - oburzył się Andrews. - To porwanie! Może pan być pewien, że napiszę o tym, co się tu dzieje, do kongresmana Thurnera!

Mężczyzna przygryzł wargi. Miał odstające uszy i zbyt ciasny kołnierzyk, który go najwyraźniej uwierał.

Coś zawyło. Włączyła się klimatyzacja. Mężczyzna wyjął z teczki jakiś szkic. Uważnie mu się przyglądał.

- Jest pan szpiegiem? - wyszeptał Bob. Już nie musiał wrzeszczeć. Nieznajomy nie miał względem niego niecných zamiarów.

- Jestem chemikiem. Doktor Steven Forman.

- I wkrada się pan tak, żeby nikt nie widział?

- Czasem tak trzeba. Dla dobra zakładów.

- To zna pan Morrisona?

Doktor Forman otworzył usta.

- Czy znam? Jest moim szefem. Od kiedy to dostawcy z supermarketu interesują się przemysłem lotniczym? - W ręku rzekomego doktora chemii pojawił się mały, czarny przedmiot. Wylot jego lufy skierowany był dokładnie w pierś Boba.

Andrews przez pomyłkę oparł się o ściankę jakiejś, jak mniemał, maszyny. Plecami wcisnął duży, płaski przycisk. Rozległ się przerywany dźwięk. Doktor zachwiał się, jego dłoń poleciała do góry. Strzał odbił się echem od sufitu. Bob nie czekał. Nagle poczuł przypływ

sił. Korzystając z chwilowej wolności dopadł metalowych drzwi. Na szczęście otwierały się od środka, po przekręceniu zwykłej gałki. Przekoziółkował przez chodnik, pognął jezdnią na złamanie karku, a potem trawnikiem - cały czas ścigany wyciem alarmu. Wczołgał się pod zbawczą jodłę, jakby go goniło stado lampartów. Skryty w gęstwinie obserwował nerwowe gonytwy uzbrojonych po zęby ochroniarzy.

- Żeby tylko nie mieli psów! - Zaszczekał zębami. - Kim on był? Dlaczego chodził z bronią? Czy miał za zadanie zlikwidować ukrywanego Thomasa Blacka? To głupie. Chyba chciał go tylko postraszyć, ale teraz już mu się to nie uda. I całe szczęście!

Psów nie sprowadzono. Ochrona biegła tam i z powrotem, a doktorak musiał opuścić pawilon szósty. Po upływie godziny wszystko umilkło. Bob już wiedział, że przed nadejściem zmroku nie wydobędzie się z zagrożonego terenu. Ogryzając paznokcie, pracowicie planował ucieczkę.

Tymczasem w Kosmicznym Miasteczku, które wyrosło na wielkim placu, trwały próby z uruchomieniem maszynierii Star Treka. Organizatorom chodziło o to, by zwiedzające Miasteczko dzieci mogły zapoznać się z techniką filmową. Papa Crenshaw wraz z pomocnikami stał na rusztowaniu górnego pokładu, sześć metrów ponad deskami podłogi.

- Telefon, szefie! - wrzasnął jeden z techników.

- Teraz nie mogę! - odkrzyknął, usiłując przykręcić srebrzysty detal.

- Ale ten facet mówi, że to pilne. Jakieś hasło: Caroline.

Papa Crenshaw o mało nie zleciał z rusztowania.

- Już pędzę! - I po chwili w baraku: - Crenshaw, słucham?

- Tu Bob - zaszemrał cichy głos. - Dzwonię z automatu w Zakładach Przemysłu Lotniczego. Taki jeden wisi na ścianie. Nie widzą mnie, bo jest ciemno. Ale nie mogę się wydostać za bramę. Niech Pete z Jupiterem coś wymyślą! Muszę kończyć!

Papa Crenshaw westchnął.

- Pete! - ryknął w przestrzeń.

- Co jest?

- Hasło: Caroline. Dzwonił Bob. Utknął w Zakładach Lotniczych. Nie może się wydostać za bramę. Zrób coś, ale nie wpakuj się w jakąś głupotę. Jasne?

- Jasne. Już jedziemy! Czy Jupiter może wziąć twój wóz?

- Może. - Rzucił kluczyki. - Ale uważajcie!

- Spoko, tato. Nie z takich opresji wychodziliśmy! Dzięki.

To, co starszy Crenshaw myślał o detektywistycznych skłonnościach własnego syna,

nie nadawało się do powtórzenia nawet w złym towarzystwie. Na wszelki wypadek nie powiedział nic głośno.

Trzy minuty później Pete i Jupiter jechali w stronę zakładów.

- Jak to rozegramy?

Jupiter Jones zwalniał przed bramą z kutego żelaza. Nacisnął klakson. Dwa długie, jeden krótki. Ich sygnał ostrzegawczy. Powtórzył to jeszcze dwukrotnie.

- Mam nadzieję, że Bob się zorientuje. Powinien być gdzieś tu niedaleko. Może w krzakach.

Z budki strażniczej wyszedł czarno ubrany ochroniarz uzbrojony po zęby. Na dodatek miał bary mistrza wagi ciężkiej i złe błyski w oczach.

- Co jest?

- Przyjechaliśmy po elementy.

Facet zmarszczył niskie czołko.

- Jakie elementy?

Pete wysiadł z wozu.

- Miała tu na nas czekać skrzynka z elementami potrzebnymi do dekoracji Kosmicznego Miasteczka, I atrapa rakiety.

Jupiter też opuścił auto, zostawiając szeroko otwarte drzwi.

- Dzwonił wasz dyrektor. Że chce pomóc burmistrzowi w wystroju Kosmicznego Miasteczka. Wie pan! Festyn w San Bernardino. - Pete bezczelnie pchał się za bramę. - Tu gdzieś powinny być. Te elementy. Jeśli są ciężkie, to pan nam pomoże.

Jupiter umiejętnie zachodził kompletnie oglupiałego ochroniarza z drugiej strony.

- Niech pan zadzwoni do dyrektora. My zaczekamy.

Strażnik poddał się. Wszedł do budki, zdejmując słuchawkę wewnętrznego telefonu. To wystarczyło Bobowi, by przyskoczyć do otwartych drzwi samochodu. Skulił się na tylnym siedzeniu.

- Nikt nie wie o żadnych elementach! - Ochroniarz zamykał bramę.

- Diabli nadali! - zezłościł się Pete. - Jechaliśmy na darmo.

Drzwiczki trzasnęły. Jupiter ostrożnie zawracał.

- Co się stało. Bob?

- Wykonywałem trudne zadanie! - warknął Andrews. - Dzięki Bogu, że tu nie trzymają psów. Ale i tak starłem się z niejakim doktorem Stevenem Formanem. Podejrzany jegomość. Jedyne, co mi się podobało, to ich telefony. Na każdej ścianie budynku. Łączą bez żetonów!

Rano zaczęło się na dobre. Już przy śniadaniu, które jedli w prowizorycznym baraku, Pete stuknął palcem w pierwszą stronę gazety.

- Susie opublikowała artykuł. W "California Examiner".

- O Morrisonie?

- Tak. I o tajemniczym zniknięciu Thomasa Blacka. - Crenshaw pił już drugi kubek kawy z mlekiem. - Łączy te fakty z sobą. Píše, że Black był także chemikiem. I przyjacielem Morrisona z młodości. Caroline, to ty?

Dziewczyna stała w drzwiach. Jej wspaniałe włosy błyszczały w słońcu.

- Powiedziano mi, że tu jesteście. Przyjechałam z Rocky Beach, bo...

- Stęskniłaś się za nami? - Pete otoczył ją ramieniem.

- No... nie. Tak, to też - uśmiechnęła się ciepło - ale sierżant Mat Wilson powiedział, że ten nieboszczyk z okolic jeziora Big Bear miał w domu mój album ze zdjęciami.

Jupiter Jones uderzył łyżeczką w kubek.

- Stop! Po kolei. Jaki nieboszczyk? Pijak Frank Scotty, którego przepłoszyliśmy w twoim ogródku? Wtedy żył...

Potrząsnęła włosami.

- Nie. Pamiętacie, jak staliśmy rano na parkingu koło stacja benzynowej? Znalazł nas strażnik leśny...

- Tak. Jerry Hunter. Pamiętał twoją mamę Isabellę. I co? On jest nieboszczykiem?

Caroline usiadła na desce zastępującej krzesło.

- Postarajcie się przez chwilę nie przerywać. Dobrze? - Jej oczy wypełniły się łzami.

Chłopcy spuścili głowy.

- Mów. - Jupiter okładał kanapkę plasterami pomidora.

- Kiedy Hunter z nami rozmawiał, odwołano go do jakiegoś wypadku w okolicy Dahave. Znalaziono człowieka z rozbitą głową. On się nazywał Gregg Patton i był...

- Kierowcą ciężarówki wożącej materiały z supermarketu "Jay and Jay" do Zakładów Sprzętu Lotniczego w San Bernardino! - powiedział Bob. - A zatem obaj już nie żyją! Gregg Patton i Człowiek z Blizną - Joe Knopf! Obaj najprawdopodobniej zamieszani w porwanie twojego ojca.

Jupiter w osłupieniu patrzył na przekrojonego pomidora.

- Wszyscy zamieszani w aferę Morrisona - Blacka? Ginią jeden po drugim, bo za dużo wiedzą! - mruknął Pete. - I on miał w domu twój album ze zdjęciami?

Dziewczyna skinęła głową.

- Tak. Policja zrobiła rewizję w domu nieboszczyka i znalazła album. Sierżant Wilson

przesłuchiwał mnie na posterunku. Pytał o dziennikarkę...

Jupiter Jones ssał wargę.

- Sprawa jest dla mnie jasna - powiedział po dłuższej chwili. - Ktoś nad tym wszystkim czuwa...

- Trzeci? - zastanowił się Andrews. - Skoro Black i Morrison są chwilowo unieruchomieni, jest ktoś, kto przestawia pionki na szachownicy. Ktoś, kto tym wszystkim steruje...

- Steven Forman? Też chemik? - zastanowił się Bob.

Crenshaw podniósł palec.

- I ma ochotę na sto milionów od koreańskiej mafii Nusi - Da. Po moim trupie! One się należą twojemu ojcu, Caroline!

- Jak odkryć machlojki trzeciego? - zafrasował się Bob.

- Po nitce do kłębka - wymruczał Jupiter. - Bob, jedziesz z Caroline do Instytutu Konserwacji Papieru. Natychmiast! Niech ci w tym pomoże Susie Lynn. Zaraz do niej zadzwonię. Zmusicie tamtejszych specjalistów do sprawdzenia dokumentów. W końcu obiecali, no nie?

Bob chwycił swój gruby notes.

- Już się robi! A wy?

- My? - zastanowił się Jupiter. - Pogadamy od serca z sierżantem Kingiem z Królewskiej Konnej! Jest w tym wszystkim zbyt dużo trupów. Trzeci nie próżnuje! A Koreańczykom ziemia zaczyna się palić pod stopami.

Posterunek policji w San Bernardino w niczym nie przypominał ponurego biura Mata Wilsona. Przestronne wnętrza, telefony i komputery, zgrabne policjantki w minispódniczkach i metalowe kraty wewnętrznego aresztu. Sierżant King z zainteresowaniem czytał "California Examiner".

- Coś się stało? - spytał niezbyt uprzejmie.

Jupiter Jones tym razem nie ukrywał faktów. Z wizytą Boba w Zakładach Lotniczych włącznie. Gdy skończył, na twarzy policjanta malowało się niezdecydowanie.

- Szef na to nie pozwoli - wymamrotał.

- Trzeci będzie dalej zabijał. O mały włos nie pozbawił życia Susie Lynn. Gdyby nie my...

- Ale policja nie ma prawa wchodzić na teren strzeżonych zakładów. Nie mamy pewności, że Thomas Black jest przetrzymywany w pawilonie szóstym. A jeśli to tajna

produkcja Pentagonu?

- Tym bardziej! - denerwował się Pete. - Koreańczycy tylko czekają! Po San Bernardino latają szpiedzy niczym stada motyli.

- Złożę meldunek szefowi - zgodził się niechętnie King. - Więcej nic nie mogę zrobić. Jesteście pewni, że jest jakiś trzeci?

- Absolutnie - przytaknął Jupiter. - I odkryję, kto to taki. Tylko niech policja będzie wtedy na miejscu. Inaczej... - przejechał palcem po gardle. - Wszyscy będziemy wachać trawę od spodu. Pan też!

Było późne popołudnie, gdy pod Kosmiczną Halę podjechała furgonetka Caroline.

- I co? - Pete przestał walić młotkiem w sterownię statku kosmicznego.

- Mamy! - Piękne oczy Caroline błyszczały. - Udało się! Pomogła Susie i ojciec Boba, dziennikarz z "Los Angeles Sun".

- A konkretnie?

Bob ostrożnie rozwijał rulon nasączony chemikaliami. W jego środku tkwił, jeszcze na wpół wilgotny, ale ze wszech miar czytelny dokument.

- Umowa pomiędzy Edgarem Morrisonem a Thomasem Blackiem. Jest warta tego oto, niestety nie podpisanego czeku na sto milionów! Cały świat się dowie, że wspaniały chemik Morrison jest oszustem!

- Mamy zatem najważniejszy dowód! - wykrzyknął Jupiter.

I to były jego ostatnie słowa, zanim w Kosmicznej Hali nie rozpętało się pandemonium. Do ataku przystąpiły aż dwie brygady antyterrorystyczne, nawzajem się zwalczające. Wpadli nieomal równocześnie przez oba wejścia, które natychmiast zablokowali. Jedni mieli na plecach żółte litery FBI, drudzy odblaskowe napisy: Policja.

Trzej Detektywi w pełnym zaskoczeniu zrobili to, co powinni: wpadli do środka *Star Treku*. A wewnątrz znali jak własną kieszeń.

- Tędy! - popędzał Pete świszczącym szeptem. - Caroline, jesteś?

- Jest tuż za tobą! - raportował Bob, przeczołgując się pomiędzy sterownią a fotelami kosmonautów.

- Jupe?

- Tu! Pod ładownią! Jak wyjść?

Wrzaski i przekleństwa walczących stron zagłuszały wszystko. Pete, najlepiej zorientowany w zakamarkach makiety, włączył wyjący wentylator. Gwizd i świst wzmógł tylko nieznośny hałas. Obie grupy kompletnie zdezorientowane biegały po hali.

- Wyjście jest pod kabiną kapitańską. Kłapa w podłodze i tunel przeciwpożarowy. Macie papiery?

- Mamy! - Jupiter usiłował przecisnąć się wąskim korytarzykiem.

- Pod sterownię! - syknął Bob. - Tamtędy jest łatwiej! Ojciec Pete'a wykonał polecenie straży pożarnej. Rozumiesz?

- Tak.

Dziesięć minut później zdyszani i spoceni stali wśród gapiów obserwujących końcówkę zmagania dwóch, bądź co bądź, rządowych agencji. Ich dowódcy wrzeszcząc wygrażali sobie nawzajem pięściami. Tłum przekonany, że to początek festynu, ochoczo bił brawo. Tego już było za dużo dla policji stanowej i FBI. Czarne sylwetki wycofywały się w zwartych szeregach do swoich wozów.

- Tak wygląda pańska pomoc? - wrzeszczał spocony Jupiter, dojrawszy sierżanta Kinga, który, jak oni, ze zdumieniem przyglądał się widowisku.

- Moja? Nic podobnego! Jestem małym tutejszym gliną, a nie Jamesem Bondem z Waszyngtonu! Czego oni szukali?

- Nas - wyznał Bob skruszony. - A raczej tego, co mamy w teczce. Policja pewnie odwiedziła Instytut Konserwacji Papieru.

Sierżant King zmarszczył brwi.

- No, panowie! Teraz widzę, że trzeba się włączyć. Mieliście rację. Nie doceniłem wroga. Potrafił skonfliktować nawet służby specjalne! Najwyższy czas zastawić na niego pułapkę. Jeśli to ktoś z Zakładów Lotniczych...

- Trzeba wreszcie uwolnić tatę! - rozplakała się Caroline.

- Tak jest. Ale już nie jesteście tu bezpieczni - ciągnął sierżant, przepychając się przez tłum. - Wiem, gdzie was zawiozę. Trzeba przeczekać parę dni...

ROZDZIAŁ 9

JAK DETEKTYWI ODKRYLI, KIM JEST TRZECI?

- Sądzi pan, że będziemy bezpieczni w lasach? - Jupiter Jones kręcił z powątpiewaniem głową.

- Na pewno. Dlatego wywożę was ciężarówką straży leśnej. Policja stanowa się nie domyśli. Cholernie podpadliście, chłopcy!

- Po co panu strzelba? - zainteresował się Bob. Sam żałował że ich “zabezpieczenie” spoczywa na dnie kanapy.

Sierżant King prowadził spokojnie i pewnie. Za drzewami przesuwały się niskie zrazu wzgórze znanych w okolicy terenów kempingowych, piknikowych i narciarskich.

- Nigdzie się nie ruszam bez długiej broni - odparł, wyprzedzając wiekowego landrovera z parą staruszków w środku. - Takie przyzwyczajenie z młodości.

- A skąd pan wiedział, że w furgonetce Blacka, którą jechaliśmy do chaty, jest... dwururka?

- Bo sam ją dałem Thomasowi. Bał się od jakiegoś czasu.

Caroline westchnęła.

- Teraz wiem, że miał czego.

- Raczej kogo! - dorzucił Pete. - Jak pan myśli, na czyich usługach byli obaj nieboszczycy: Joe Knopf, czyli Człowiek z Blizną, i Gregg Patton?

Sierżant pokręcił głową.

- Naprawdę nie wiem. FBI to zapewne rozszyfruje. Dziwi mnie tylko fakt, że chcieli spalić chatę.

- Razem z Susie Lynn! - mruknął Jupiter. - Pewnie nic nie wiedzieli o ukrytych tam dokumentach.

- Albo odwrotnie. Któryś wiedział. I chciał, by przypadły na wieki. Podejrzewam trzeciego. I to on pewnie strzelał. Na postrach. Żeby dokładnie wykonywać jego polecenia.

Pomału zbliżali się do znajomej stacji benzynowej. Musieli nabrać paliwa. Caroline blada i nieco wystraszona cieszyła się z bliskiej obecności Crenshawa.

- Gdzie on nas wiezie? - szepnęła.

- Mówił, że do leśniczówki - odparł Pete, gładząc jej włosy.

- To nam nieco odwlecze śledztwo - martwił się Bob - ale też będziemy mieć czas na zsumowanie wszystkich danych. Szkoda, że nie mam dostępu do komputera.

- Jest w leśniczówce - powiedział sierżant wsiadając za kierownicę. - Jeszcze tylko sześć kilometrów... o, jedzie Hunter!

Istotnie. Z leśnej ścieżki za szlabanem z tablicą zakazującą wjazdu pojawił się elektryczny samochodzik straży leśnej.

- Hej, Jerry! - zawołał King hamując.

Hunter pokiwał ręką. Jego siwy wąs wyglądał bardziej obwisłe niż poprzednio. Ale ogorzała, szczerą twarz wyrażała radość ze spotkania.

- Hej, Stan! Dokąd wieziesz młodociany towar?

- Do twojej leśniczówki. Musisz ich potrzymać dwa, trzy dni. W San Bernardino zrobiło się gorąco. Dzieciaki trochę, jakby tu rzec, podpadły i...

- Narozrabiali? - roześmiał się leśnik.

- Jesteśmy detektywami - uniósł się honorem Jupiter Jones. Nie znosił protekcjonalnego tonu, którego w nadmiarze nadużywali niekiedy dorośli. I to określenie: dzieciaki! Choroby można dostać, jak się ma siedemnaście lat.

- Wiem, wiem - uśmiechnął się wesoło leśnik - wasza sława sięga jeziora Big Bear. I okolic. Jedźcie przodem. Podniosę szlaban, bo tam samochody na benzynę nie mają prawa wjazdu. Ale dla was zrobię wyjątek.

Leśniczówka okazała się obszernym dwupiętrowym domem w stylu pierwszych osadników. Z grubych bali zamontowanych bez użycia choćby jednego gwoźdź. W środku przedstawiała się jeszcze okazalej. Trzy pokoje i dwie łazienki na drugim piętrze i wspiane poddasze przerobione na salkę kinową, telewizyjną lub, w miarę potrzeby, konferencyjną. Trzy komputery z dostępem do Internetu wprost zachwyciły Boba.

- Ja się tu instaluję! - wykrzyknął, zrzucając z ramienia swą ciężką torbę.

- Zaraz, zaraz - Hunter usiłował zapanować nad bałaganem. - To jest miejsce dostępne dla wszystkich pracowników. Spać będziecie w pokoju obok łazienki. Są trzy tapczany. A ty - zwrócił się do Caroline - zajmiesz pokój swojej mamy.

- Co takiego? - zdumiała się dziewczyna.

- A tak. Isabella spała tu, gdy jeszcze była panną. Przyjeżdżała z nami na ryby.

- To znaczy... z tatą? - Oczy Caroline napęły się łzami.

- No... przyjaźniła się z całą naszą trójką. Z Blackiem, Morrisonem i ze mną.

- Ja także tu bywałem, zapomniałeś? - Sierżant King mrużył oczy.

- Tyle że rzadko. Nie znosiłeś siedzenia z wędką. Rozgość się w tym malutkim pokoiku, Isabello...

- Caroline - sprostowała speszona.

Chłopcy z łatwością zaakceptowali swoje lokum. Oczywiście Jupiter był najszybszy przy wyborze łóżek.

- Ja pod oknem. Muszę zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz.

Pozostali roześmiali się.

- Wybrałeś to łóżko, bo jest... najszersze. Gdzie są nasze kanapki? Tato wrzucił nam wałowę, jakbyśmy jechali na miesiąc. I to na pustynię Mojave! - Pete sprawnie rozpakowywał wypchany plecak.

Jupiter Jones penetrował wszystkie pomieszczenia szczególnie uważnie. Zachowywał się przy tym niczym pies gończy. Nie przeoczył ani jednej dziurki, ani klucza.

- Co z tobą, Jupe? - Bob kartkował notes.

- Badam teren. Pierwszy nie próżnuje. Bob. To, że uciekliśmy z San Bernardino, nie zwalnia nas od czujności.

- Sądziysz, że nie zmyliliśmy pogoni? - zmartwiła się Caroline.

- Jestem tylko ostrożny.

Po kolacji, na którą leśnicy zaprosili całą czwórkę, wyszli się przejść. Ciemno było choć oko wykol. Gdzieś górą szedł powiew wiatru. Drzewa stały w ciszy niczym tajemnicze zjawy. Ich gałęzie zwisały aż do ziemi. Ścieżki wokół leśniczówki były wąskie i mocno poplątane.

- Ma ktoś latarkę? - spytał Pete.

- Zawsze mam latarkę - odpowiedział Bob. - Przecież wiesz: latarka, scyzoryk o sześciu ostrzach, mocny sznurek i kreda to podstawowy zestaw detektywistyczny.

Jupiter stanął w miejscu niczym słup.

- Jupe, co z tobą? Zamyśliłeś się? - Caroline położyła mu rękę na ramieniu.

- Tttak - zająknął się. - Myślę. Parę wątpliwości kłębi mi się pod czaszką. Zimno, wracam.

Wrócił do leśniczówki wcale nie dlatego, że zmarzł. Miał na sobie ciepłą kurtkę. Wrócił, bo COŚ mu się wydało podejrzane. Nie lubił panikować. Tylko dedukować. I musiał coś zrobić: wyjąć zabawny, stary, mosiężny klucz z dziurki w drzwiach ich pokoju. Po prostu musiał.

Zasnęli dość szybko. Nerwowy dzień, paniczna ucieczka przed policją i FBI - wszystko to spowodowało, że zapadli w sen tak głęboki, że nikt nie usłyszał cichutkiego trzasku. Nikt z wyjątkiem Jupitera. Pierwszy Detektyw na palcach podszedł do drzwi.

Poruszył klamką. Były zamknięte. - Jak? - pomyślał, wyciągając spod poduszki ciężki, mosiężny klucz. - Jak nas zamknęli? I kto? Dziurka nie wpuszczała światła z korytarza. Ale zamek dał się otworzyć od środka. Klamka, cichutko poruszona, puściła. Jupiter stał w progu, czując, jak marzną mu bosa stopy. - Ten, kto nas zamknął, miał drugi klucz. I zabrał go ze sobą. Trzeba to przemyśleć. Ale dopiero jutro. Uwagę Juve'a zwróciła wąska linia światła wydobywająca się spod drzwi wiodących na poddasze. Pokonał kilka schodków, pilnie bacząc, by nie zaskrzypiała podłoga. Z wnętrza sączyły się dwa głosy. Mężczyźni rozmawiali cicho. Grube, dębowe drzwi nie przepuszczały dźwięku. Dopóki jeden z nich nie poruszył klamką. Jupiter o mały włos nie zjechał w dół na tylnej części ciała. W ostatniej chwili uskoczył w mrok.

- Jutro finał - powiedział ktoś z obcym akcentem. - Oni nie będą czekać ani dnia dłużej.

- Tak jest. Proszę powiedzieć szefom, że dokument przyleci helikopterem. Jutro.

Obcy mężczyzna zaczął schodzić, trzymając się poręczy. Jupiter zawahał się. A potem wrócił do łóżka, długo rozcierając zmarznięte stopy.

Rano, oblizując łyżkę po jajecznicy, bacznie przyglądał się nielicznemu personelowi leśniczówki. Kucharka była kościstą, chudą kobietą z naroślą na policzku. Posługaczka zaś tęgą, wesołą dziewczyną w kraciastym fartuchu i zielonych tenisówkach.

- Pani tu sprząta? - zagadnął z niewinną miną.

- Ja. Bo co?

Pete i Bob podnieśli głowy znad talerzy. Dobrze wiedzieli, że Jupiter nie zadaje takich pytań bez powodu. Caroline nie zwróciła na to uwagi.

- Dużo ma pani pracy. A teraz jeszcze my...

- Nie będziemy brudzić ponad miarę! - włączył się Bob i umilkł ścigany wściekłym spojrzeniem Jonesa.

- Możemy pomóc - Crenshaw był domyślniejszy - prawda?

- Oczywiście! - Jupiter mrugnął. - Jest jakieś biuro do odkurzenia? Albo piwnica?

Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie.

- No... jest. Sporo tego.

- To posprzątamy! - włączył się Bob. - Wszędzie otwarte?

- No... - dziewczyna wahała się. - W każdych drzwiach jest klucz. Można wejść. A zapasowe wiszą w dyżurce.

Jupiter przełknął kawałek bułki.

- Odkurzymy biuro pana leśniczego. I nasze pokoje.

- Byle nie ruszać żadnych papierów. Ani żelaznej szafy w kącie. Pan leśniczy pojechał na obchód. Wróci dopiero na obiad. To co? Opróżnicie także kosze na śmieci?

- Naturalnie.

- O co chodzi, Jupe? - Bob miał wypieki na twarzy. - Coś podejrzewasz? Naszego gospodarza?

Jupiter Jones skubał wargę.

- Coś jest nie tak. Bob. W nocy zamknięto nasz pokój. Od zewnątrz. A ja miałem klucz pod poduszką!

Cała czwórka oniemiała.

- Pete, zabierz Caroline na spacer - mruknął. - Niech was wszyscy widzą. Kręćcie się blisko domu. - A my, Bob, do dzieła!

Poddasze miało tylko jedno okno. Trójkątne. Spadzisty dach ograniczał umeblowanie. Z trzech komputerów jeden był włączony. Bob przyglądał mu się jak bocian żabie.

- Żaden problem. Przeszukam jego pliki, sprawdzę czego dotyczą.

- Dobra. - Jupiter czuł ciarki na plecach. - Instykt detektywa mówił mu, że nie wszystko tu jest tak proste, jak na to wygląda. Zza firanki obserwował Crenshawa przekomarzającego się z Caroline. - Pośpiesz się. Bob. Mam stąd widok na podjazd. W razie czego...

Andrews z uwagą stukał w klawisze. Trwało to chwilę.

- Nic nie ma ciekawego, Jupe. Tylko dane dotyczące ścisłego rezerwatu. Stan liczebny zwierzyny, ludzi... co jeszcze?

- A helikopter?

Bob zdziwił się, ale poszukał danych.

- Jest. Przecież wiesz, że go mają. Używany na wypadek pożaru lub katastrofy ekologicznej. Przyleciał, gdy byliśmy w chacie.

Jupiter myślał gorączkowo. Coś powinno być. Ale co?

- Z czego się utrzymuje służba leśna?

Bob pokręcił głową.

- Do finansów nie ma dojścia. Ścisłe tajne. Do kont osobistych także nie. Potrzebne jest hasło.

Jupiter zmarszczył czoło.

- Może: Big Bear?

- Nie.

- Sprawdź... Isabella.

Bob kliknął myszą i oniemiał. Przed nim otworzyły się wrota Sezamu. Wszystkie pieniądze, jakie kiedykolwiek przepłynęły przez konto leśniczego.

- Skąd wiedziałeś?

- Jestem detektywem - mruknął Jupe. - Cholernie dobrym detektywem. Szukaj, Bob. Przelewy na rzecz Huntera. Od tego może zależeć wolność Thomasa Blacka, ale też zlikwidowanie największej szajki szpiegów gospodarczych!

Trzydzieści trzy minuty później już wiedzieli, jak urzeczeni wpatrywali się w rzędkie cyfr i liter. A potem zaczęli działać. Narada odbyła się na polanie wśród ogromnych paproci.

- Pete, pożycz rower i gnaj do stacji benzynowej zatelefonować. Crenshaw zdziwił się niepomiarowo.

- Po co? W leśniczówce są trzy aparaty.

- Ale na podsłuchu! - warknął Bob. - Daję głowę, że w każdym są elektroniczne pluskwy. Oni są specjalistami, Pete. Ci Azjaci. Chcą słyszeć każdą rozmowę. Pilnują interesu za sto milionów!

Crenshaw skinął głową.

- Wiem, gdzie stoi rower sprzątaczkowski.

Caroline trzęsła się niczym osika.

- Ja w to nie wierzę. Coś pokręciliście. Niemożliwe!

Jupiter wzruszył ramionami,

- To nie jest sprawa wiary, dziewczyno. Tylko faktów. A te świadczą przeciwko ludziom zamieszany w aferę. Pete, daj znać ojcu. Hasło Caroline nadal aktualne. Niech znajdzie Kinga i wszystkich świętych! Biegiem!

Wiedzieli, że nie mogą uciec. Nie miałyby to sensu. Nie znali lasów tak dobrze jak leśnicy. Trzeba było grać swoje role do końca filmu.

Oby ze szczęśliwym zakończeniem.

Bez apetytu zjedli kanapki. Największe powodzenie miał termos z herbatą. Wszystkim było zimno. Głównie ze strachu.

- Wracamy - powiedział Bob, poprawiając zjeżdżające na nos okulary. - Inaczej zaczną nas szukać.

Jupiter położył dłoń na ramieniu Caroline.

- Jesteś pewna, że dasz radę? Grozi nam niebezpieczeństwo.

- Wytrzymam. Muszę to zrobić dla ojca... jeśli jeszcze żyje.

- Na pewno żyje. A tylko on zna formułę chemiczną.

W leśniczówce było ciepło i cicho, jeśli nie liczyć podśpiewywań rudej sprzątaczkii Elizy. Siedzieli na fotelach wokół stolika i próbowali grać w pokera. Tylko że nikomu nie szła karta.

- Zróbcie miejsce! - zawołała ruda posługaczka, brzęcząc talerzami. - Mam nakryć do stołu dla gości pana Huntera.

- Przyjadą na inspekcję? - roześmiał się nieszczerze Bob.

- No - zawahała się. - W interesach. Jak zwykle.

- Helikopterem? - Jupiter nadstawił uszu. Wizg obracającego się śmigła słychać było aż nadto wyraźnie.

- Tak. Lądowisko jest po drugiej stronie. Zaraz tu będą.

- Mam nadzieję, że Pete zdążył - wyszeptał Bob. - Jeśli istnieje piekło, mam w nim zarezerwowaną łożę honorową! Chyba że... przeżyjemy.

- Nie martw się - Jupiterowi nie pozostawało nic poza wisielczym humorem - potrzebujesz najwyżej trzech dni na zmartwychwstanie.

Do pokoju wszedł Jerry Hunter, prowadząc dwóch gości. Obaj byli w ciemnych garniturach, i obaj mieli najbardziej skośne oczy na świecie. Hałas, jaki dochodził z korytarza, brzmiał groźnie: jakby po schodach wleczono czyjeś bezwładne ciało.

Jupiter skoczył jak żbik. W ostatniej chwili dostrzegł czyjeś nogi w charakterystycznych butach z żółtej cielęcej skóry. Nogi wraz z całym ciałem zniknęły w piwnicznych czeluściach.

- Thomas Black! - wyszeptał przerażony. - Nie mogąc prośbą ani groźbą uzyskać formuły od jej twórcy, Koreańczycy postanowili uprowadzić go ze sobą!

Caroline z Bobem stali w drzwiach.

- Caroline - szeptał jej na ucho Jupiter - czy pamiętasz, jak twój ojciec był ubrany w dniu, gdy zaginał?

- Ja nie...

- Jakie nosił buty?

Dziewczyna zaczęła się trząść.

- Z jasnej... żółtej skóry. Z cholewką...

Jupiter Jones nie miał wyboru. Wszedł do pokoju, gdzie zasiadał do posiłku gospodarz leśniczówki wraz z gośćmi.

- Witam szefów słynnej mafii Nusi - Da - powiedział dziwnie grubym głosem. W ustach czuł suchość, a pod włosami wilgotny pot.

Jerry Hunter oniemiał.

- Co powiedziałaś?

Bob zasłonił Caroline własną, mizerną pierś.

- To, co pan słyszał. Sprawdziliśmy finanse w pańskim komputerze. Dużo pan zarabia ostatnio. I czy to był dobry pomysł bronić dostępu do plików tak prostym hasłem jak "Isabella"? I dlaczego nie zaprosi pan na obiad również Thomasa Blacka? Poda mu pan kotlecik do piwnicy?

Dwaj Koreańczycy zerwali się z miejsc. Ich piskliwe głosy coś wołały po koreańsku.

Hunter zrobił dwa kroki w stronę Jupitera. Jego ręka sięgnęła pod pachę. Huknął strzał. Ale to Jerry Hunter osunął się na podłogę. Spośród hałasów, które dominowały, Jupiter zanotował w pamięci trzy: przenikliwy wrzask kucharki nie milknący ani na minutę, łomot wielu kroków po schodach i ostre repetowanie długiej broni.

- Na ziemię! - detektywi usłyszeli dobrze znany głos sierżanta Kinga. Padli na dywan, pociągając Caroline.

Gwiezdne wojny to kaszka z mleczkiem w porównaniu z tym, co działo się dalej. W holu, na schodach do piwnicy, w jadalni zaroilo się od czarnych sylwetek z napisami FBI oraz Policja. Tym razem działali wspólnie. I dlatego nikomu nic się nie stało. Poza nieboszczykiem Hunterem. Sprawcą całego zamieszania. I całego zła.

Dwa dni później wszyscy siedzieli w Kwaterze Głównej. Nawet sierżant King z Królewskiej Konnej. Caroline przytulona do ojca i czekoladowa Susie Lynn.

- Jak na to wpadliście? - spytał Thomas Black z podziwem.

- Bo jesteśmy genialnymi detektywami! - Jupiter wypiął pierś.

- Bo przekroczyłem dozwoloną szybkość jazdy damskim rowerem - śmiał się Pete. - I zdążyłem zawiadomić ojca. A tato już zrobił, co do niego należało.

- Pierwszy raz nie posłuchałem rozkazu szefa - przyznał sierżant Stan King. - Można rzec, że uprowadziłem dwa policyjne helikoptery, by zdążyć na czas.

- Prasa też się spisała nieźle! - Susie założyła nogę na nogę. - Moja gazeta pierwsza opublikowała artykuł o machlojkach doktora chemii Stevena Formana i paru innych z Zakładach Sprzętu Lotniczego.

- I mój tato! - włączył się Bob. - Napisał w "Los Angeles Sun" o porwaniu pana Blacka. Dlatego włączyło się FBI!

- Zwykle nie są tak błyskawiczni! - skrzywił usta sierżant King. - Ale to policja miała helikoptery pod ręką.

- Ale tylko my! - Jupiter uderzył się w pierś. - Tylko Trzej Detektywi powiązali

wszystko w jedną całość.

Thomas Black z czułością gładził córkę po głowie.

- Ja tylko starałem się dochować tajemnicy wojskowej. Nigdy by nie dostali formuły! Ale chętnie bym się dowiedział, co właściwie się działo. Każdy zna tylko fragment, w którym uczestniczył.

- Zaczęło się dwadzieścia dwa lata temu - rozpoczął Jupiter Jones - kiedy to trójka przyjaciół, siedząc na pikniku w chacie nad jeziorem Big Bear, zastanawiała się, jak zrobić pieniądze. Jeden był geniuszem w dziedzinie chemii...

- Mówisz o mnie? - uśmiechnął się Black.

- Tak. Nie miał skończonych studiów, ale wynalazł substancję na ówczesne czasy niebywałą: niepalną powłokę do rakiety kosmicznej typu "Atlas". Drugi, Edgar Morrison, też chemik, po studiach w California Institute of Technology w Pasadenie mógł ten wynalazek zgłosić. Obaj przyjaciele umówili się, że jeśli sprawa zostanie pomyślnie załatwiona - Black za sto milionów dolarów odstąpi wynalazek Morrisonowi. A ten i tak zarobi drugie tyle, sprzedając go NASA. Świadkiem umowy był trzeci - Jerry Hunter pracujący w nadleśnictwie. Umowę spisano, czek czekał na podpis. Ale się nie doczekał.

- Oszukał mnie - pokiwał głową Black. - Zgłosił formułę, twierdząc, że musi przejść serię wstępnych prób. Trwały rzeczywiście ponad cztery lata. Ale to Morrison stał się sławny.

- I wtedy - włączył się Bob - spotkała pana niemiła niespodzianka. Morrison wszystkiego się wyparł.

- Tak. Na dodatek nie wiedziałem, gdzie są papiery. Kiedy włączył się Hunter, było już tylko gorzej. Jerry zaczął szantażować Edgara.

- Robił to przez kilkanaście lat z rzędu! - kończył Pete. - I tak byście do końca życia zdani byli na marne grosze od Morrisona milionera, gdyby...

- Gdyby los nie zakpił ze złodzieja! Morrisona powaliła choroba: udar mózgu, paraliż i śpiączka. A naszym raketom wciąż potrzeba nowych powłok. Tylko że zakodowana formuła tkwi w sejfie. I nawet wciągnięty w spiszek doktor Steven Forman, pełniący funkcję dyrektora Zakładów Sprzętu Lotniczego, nie potrafił rozszyfrować zagadki.

- Hunter wiedział, co robić - kiwnął głową Thomas Black. - Choroba Morrisona eliminowała jednego z trójki. Teraz bez przeszkód mógł się dogadywać z koreańską mafią Nusi - Da. Oni mu też obiecali sto milionów.

- Ale zaczęłam bruździć ja - odezwała się milcząca dotąd Susie. - Po serii moich artykułów szajka musiała działać szybko. - Trzeba było porwać Blacka. Twórcę formuły. Hunter sądził, że kolega z lat młodości da się przekupić. Gdy tak się nie stało, postanowił

sprzedać autora formuły razem z nią!

Jupiter Jones rozłożył ręce.

- Sto milionów to kupa forsy. Łańcuszek pośredników długi: Joe Knopf, Gregg Patton i pomniejsi w rodzaju grubiotkiego "piekarza" Vonga, Henry'ego czy przypadkowo zamordowanego Franka Scotty'ego.

- Hunter czuł nóż na gardle - kończył Bob. - Koreańska mafia nie chciała dłużej czekać. Chcieli odlecieć do siebie, wywożąc pana Blacka i wyciągniętą z sejfu zakodowaną formułę. Ale nie zdążyli. Dzięki nam!

- No... - uśmiechnął się sierżant King - ja też trochę pomogłem, wywożąc was w...

- Najbezpieczniejsze miejsce na ziemi! - roześmiała się Caroline.

- Skąd mogłem wiedzieć - zafrasował się policjant. - Jerry od lat był moim przyjacielem. - Sierżant podniósł się z krzesła. - Na mnie już czas. Oddacie mi to, co macie w kanapie?

- Może się nam przydać - mruknął Jupiter Jones. - Szkoda, że się do tej broni przyznaliśmy.

Pete wyciągnął obły pakunek w szarej szmacie.

- Niech pan to lepiej weźmie. Nie zostanie pan na małym danku, które przyniósł Bob?

Gliniarz pochylił się nad plastikowym pojemnikiem.

- Co to jest to brązowe? - spytał.

Pete zajrzał do środka.

- Albo to jest stek w płynie, albo budyń czekoladowy z kością.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Cześć, detektywi. Na mnie już czas.

Gdy za Kingiem zamknęły się drzwi, Jupiter zauważył:

- Jedyna zakaźna choroba, na którą cierpi, to?

- Policyjna zazdrość! - roześmiała się Susie. - Bo to wy okazaliście się lepsi!